



A vibrant field of red poppies and white daisies. The red poppies are the dominant feature, scattered throughout the field with some in full bloom and others as buds. Interspersed among them are several white daisies. The background is a dense carpet of green grass and stems. The overall scene is bright and colorful.

72

Wójtowie siedleccy

1580 - Stanisław Maciusek

1620 - Maciej Gorczyński

1698-1710 - Paweł Bartnicki

1727 - Michałowski

1740 - Kazimierz Białostocki

1755 - Stefan Wakuliński

1788 - Mateusz Syroczyński

Po likwidacji Gromadzkich Rad Narodowych
i wprowadzeniu dwustopniowego podziału administracji państwa:

1 stycznia 1973 roku utworzony został Urząd Gminy Siedlce

1 stycznia 1973 - 1 listopada 1977 - **Tadeusz Szczech** - Naczelnik

16 listopada 1977 - 28 lutego 1985 - **Andrzej Kozak** - Naczelnik

1 marca 1985 - 29 czerwca 1989 - **Wiesław Mazur** - Naczelnik

1 lipca 1989 - 14 czerwca 1990 - **Zygmunt Wielogórski** - Naczelnik

16 czerwca - 31 stycznia 1994 - **Zygmunt Wielogórski** - Wójt

1 lutego 1994 - 13 lipca 1994 - **Marek Plichta** - Wójt

13 lipca 1994 - **Mirosław Bieniek** - Wójt

Wykaz sporządzono w oparciu o akta: AGAD, zespół KRSW i informacje uzyskane z Urzędu Gminy Siedlce.



Zygmunt Wielogórski

Historię tworzą ludzie

„W Samorządzie nie ma miejsca na podziały i kłótnie..”

Urodzony w 1949 roku w Pruszyń-Pieńkach. Ostatni naczelnik gminy Siedlce i pierwszy demokratycznie wybrany wójt. Do pracy w samorządzie przyszedł z Urzędu Wojewódzkiego w Siedlcach, gdzie przez 5 lat zajmował się sportem. Swoją samorządową karierę rozpoczął w 1989 roku w gminie Siedlce, potem był wojewodą siedleckim. Pracował też w Urzędzie Marszałkowskim. Do dziś jego życie zawodowe jest związane z samorządem, lecz obecnie tym powiatowym. Od 2002 roku pełnił funkcję wicestarosty powiatu siedleckiego ziemskiego, zaś od 2006 roku do dziś – starosty.

Jego kandydaturę na stanowisko naczelnika gminy Siedlce zarekomendował Radzie Gminy odchodzący do innej pracy ówczesny naczelnik gminy Wiesław Mazur. Z dwóch przedstawionych kandydatów wybrano jego. – *Wybór Rady Gminy uszanował ówczesny wojewoda siedlecki Janusz Kowalski. Moje naczelnikowanie trwało krótko, bo do wyborów samorządowych w czerwcu 1990 roku. Potem okazało się, że nadal będę wójtem, choć już z demokratycznych wyborów – wspomina Zygmunt Wielogórski. Krótki czas pełnienia funkcji naczelnika gminy zapisał się w jego wspomnieniach jako czas, gdy niewiele było można zrobić. – Przydziały się już skończyły, więc ja już*

niczego nie przydziałałem. Zaczął się wolny rynek. Było bardzo trudno, bo gmina miała bardzo mało pieniędzy. Nie było rynku zleceniodawców, tylko rynek wykonawców. Pieniądze, które gmina dostawała od wojewody, miały już w momencie przekazania swoje przeznaczenie. W zasadzie nie było żadnych wolnych środków na inwestycje. Problem był też z wykonawstwem. Gdy potrzebowaliśmy, by we wsi zostało wykonanych 18 przyłączy wodociągowych, nieomalże błagałem wykonawcę, żeby zechciał je zrobić. Ale za rok wszystko się już zmieniło.

Zygmunt Wielogórski nie zmarnował krótkiego okresu terminowania w gminie jako naczelnik. Uczył się administrowania, poznawał ludzi i problemy ich nękające. Wiele z nich znał dobrze, w końcu sam był jej mieszkańcem. Przydało się wykształcenie prawnicze oraz umiejętność słuchania ludzi i zdobywania ich życzliwości. – *Główną trudnością tamtego czasu były pieniądze. Ceny wszystkiego rosły w taki sposób, że trudno było za tym nadążyć. Obserwowało się ogólne rozprężenie całego systemu. Dam taki przykład: gdy zepsuła się pompa w ośrodku zdrowia w Pruszyń-Pieńkach, mogliśmy jedynie ją naprawiać średnio co 2 tygodnie, nie było szans na to, żeby kupić nową i temat załatwić do końca – opowiada Zygmunt Wielogórski. W jego ocenie reforma samorządowa była jednym z najlepszych posunięć ówczesnego rządu.*



Zygmunt Wielogórski, polski sędzia międzynarodowy został zaproszony przez IWF i MKOL do sędziowania zawodów podnoszenia ciężarów podczas Igrzysk Olimpijskich w Pekinie w roku 2008.

Zmiany ustrojowe w 1990 roku przyniosły również wiele zmian w samorządzie. Przede wszystkim zmieniło się ich finansowanie, co umożliwiło samorządom inwestowania w infrastrukturę. – *Początek lat 90.tych dał gminie ogromny impuls do inwestowania w rozbudowę wodociągów, gazociągów, telefonizacji. W tej chwili wydaje się to normą, że każdy prawie dom ma bieżącą wodę, podłączenie do gazu, a wiele również do kanalizacji. Kiedyś tego nie było. Pierwsze nasze inwestycje to te wspomniane już 18 przyłączy wodociagowych w kolonii Zabokliki i stacja uzdatniania wody w Stoku Lackim. Musieliśmy również dokończyć rozpoczętą budowę budynku Gminnego Ośrodka Kultury w Chodowie.*

W roku 1991 budżet gminy Siedlce był już 2 razy większy niż w roku 1990. Zasadniczą zmianą był również fakt, że Rada Gminy mogła sama zdecydować, na co wydać te pieniądze. Gmina Siedlce wyszła na tych zmianach bardzo dobrze, zwłaszcza że były wówczas również do pozyskania pieniądze zewnętrzne – z Ministerstwa Rolnictwa, od wojewody siedleckiego, z Fundacji Zaopatrzenia Wsi w Wodę. Wtedy właśnie najbardziej się przydało zdobyte wcześniej doświadczenie. – *Inni musieli dopiero uczyć się zarządzać, a my już przygotowywaliśmy plany inwestycyjne i wkrótce zaczęliśmy je realizować. Mieszkańcy byli chętni do pomocy i udziału w nich finansowo – wspomina były wójt.*



Zygmunt Wielogórski z Aleksandrą Klejnowską wielokrotną mistrzynią Europy w podnoszeniu ciężarów.

Gmina zaczęła inwestować. Po stacji uzdatniania wody w Stoku Lackim zbudowano wodociąg dla tej wsi. Następnie zbudowano kolejne ujęcie wody w Ujrzanowie, co pozwoliło na budowę wodociągów w 18 wsiach. Na inwestycje pozyskiwano również dotacje z Ministerstwa Rolnictwa. Gmina miała pieniądze na wkład własny, a centralna administracja nie wtrącała się w same inwestycje, wymagała jedynie ich rozliczenia. – *Dzięki umiejętnemu wykorzystaniu tych funduszy mogliśmy jednocześnie inwestować w różne dziedziny. Udało się namówić Telekomunikację do pociągnięcia linii w największych wsiach. Dzięki współpracy z Seminarium Duchownym*

Iganie i Opole miały telefony jako pierwsze w gminie. Dziś to może nie jest już tak ważne, bo są telefony komórkowe, ale 20 lat temu to był duży postęp i obiekt pożądania wielu ludzi – wspomina Zygmunt Wielogórski. – Ostro wzięliśmy się też za gazyfikację. Na pierwszy rzut poszły Stok Lacki, Grubale, Osiny. Ludzie włączyli się w to poprzez społeczne komitety, które były spontanicznie powoływane, zbierały pieniądze, zabiegały o inwestycje dla swojej wsi. To bardzo nam ułatwiało działanie, bo ludzie byli pozytywne nastawieni, nie trzeba ich było przekonywać do udostępnienia swoich działek.

Samorząd inwestował również w oświatę, choć nie mówiło się wtedy jeszcze o przejęciu szkół. Zbudowano dwie sale gimnastyczne – w Pruszyńcu i Stoku Lackim. Gmina łożyła również na bieżące remonty i najpilniejsze prace inwestycyjne w szkołach. – *Stać nas było na to* – podsumowuje Zygmunt Wielogórski. Zaczęto również budowę i remonty dróg gminnych, a także renowację dróg gruntowych. – *Można mówić o inwestycyjnym szczęściu. Wcześniej na każdą rzecz trzeba było u góry wyprosić pieniądze, teraz mieliśmy swoje. Powstawały nowe firmy, które były zainteresowane pracą dla samorządów. Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne straciło monopol na budowę wodociągów. Nie było zamówień publicznych, ale organizowaliśmy konkur-*

sy, żeby uniknąć pomówień o zмовę. To dawało dobre rezultaty. Wkrótce POM Żelków zaczął robić dla nas inwestycje wodociągowe. Za te same pieniądze budowaliśmy dwa razy tyle. Mieszkańcy udzielali pomocy, dopłacali do każdego przyłącza wodociągowego, czy gazociągowego.

Inną cechą tego okresu była zupełna apolityczność. – *Nikt na to nie zwracał uwagi. W radzie byli radni z różnych opcji politycznych, ale wszyscy zgodnie siadali przy jednym stole, zgodnie podnosili ręce, jak trzeba było przegłosować jakąś uchwałę. Każdy z nich myślał o tym, żeby coś zrobić dla mieszkańców ze swojego okręgu, a nie o rozgrywkach personalnych.*

Ustawa o samorządzie gminnym oraz ustawa o kompetencjach samorządu gminnego dała gminom wiele praw, ale nałożyła również wiele obowiązków. Jednym z nich było ustalenie podatku od nieruchomości. Budziło to ogromne kontrowersje wśród ludzi, ale jednocześnie pozwalało na załatwienie ich wielu bolączek i potrzeb. – *Samostanowienie to nie to samo, co robienie wszystkiego, co się chce. Ramy tego, co wolno, zakreśla prawo. Przez te pierwsze cztery lata samorządu wszyscy się dopiero uczyliśmy. Musieliśmy się ze sobą konsultować, choćby po to, żeby ustalać stawkę podatku na podobnym poziomie, ale także żeby się od siebie nawzajem uczyć. Była dość duża swoboda, bo wiele ustaw było uchylonych lub*

nie obowiązywały, więc trzeba się było samemu pilnować, żeby nie zrobić czegoś ubrew prawnu – wspomina Pan Zygmunt.

Zygmunt Wielogórski uważa, że entuzjazm, jaki panował w samorządach na początku lat 90. tych już się nie powtórzy. Wówczas ludzi napędzała nadzieja na szybkie zmiany i chęć zrobienia czegoś dla współmieszkańców. Teraz – w jego ocenie – na pewno mamy sprawniejsze urzędy, lepiej wykształconych urzędników. Są programy rozwoju opracowane dla danej gminy na wiele lat naprzód. Gmina Siedlce może już zaoferować swoim mieszkańcom wiele cywilizacyjnych udogodnień. Lecz ich oczekiwania są jeszcze większe, czasem wręcz nierealne. Nie da się w krótkim czasie doprowadzić wszystkich mediów do domu postawionego w szczerym polu, ani zbudować doń asfaltowej drogi. Na wszystko trzeba trochę poczekać. Postęp jest i nie da się go zatrzymać. Ludzie na wsi inaczej teraz mieszkają, inne też są ich potrzeby. Kiedyś podstawową potrzebą był dostęp do dobrej wody, teraz ludzie walczą o chodniki w swoich wsiach, oświetlenie, place zabaw czy ofertę kulturalną. Oczekują porządných dróg oraz sprawnej i kompetentnej obsługi w urzędzie. Chcą się czuć podmiotem, który poprzez swoich przedstawicieli decyduje o tym, co się dzieje w ich wsi. Samorząd gminy Siedlce dobrze sobie radzi ze spełnianiem tych oczekiwań, ale jest to możliwe przede wszystkim dlatego, że gmina ma

wielu mieszkańców i działalność gospodarcza jej mieszkańców prężnie się rozwija. – *Każdy z nas musi sobie uzmysłwić, że napędem rozwoju są podatki, które uiszczamy. Nasi radni mogą teraz decydować, na co je przeznaczyć, w jaki sposób i w jakiej kolejności zaspokoić najpilniejsze potrzeby. Jest to największa zmiana, jaka zaszła w roku 1990 i ludzie powinni doceniać, że poprzez swoich radnych mają teraz realną możliwość wpływania na zaspokajanie swoich potrzeb – uważa Zygmunt Wielogórski. – Po 22 latach kariery w samorządzie zbliżam się już do końca swojej pracy. Nie jest to łatwa praca, wymaga wiedzy, ale przede wszystkim dużej kultury, umiejętności słuchania ludzi, wypracowywania kompromisu. Coraz trudniej się pracuje, bo ludzie mają bardzo duże oczekiwania, uważają że wszystko powinni dostawać natychmiast. Rząd nakłada na samorządy coraz więcej zadań, za którymi nie idą pieniądze. Trzeba sobie zdawać sprawę z tych zagrożeń, bo może to w pewnym momencie spowolnić rozwój lokalny, a nawet zupełnie go zahamować. Chciałbym, żeby moi następcy nie zmarnowali tego, co udało nam się wypracować, by przede wszystkim nie dali się zdominować partyjnym podziałom i kłótniom. W żadnym samorządzie nie ma na to miejsca, tu wszyscy powinni pracować dla dobra tych, którzy ich wybrali. ■*



To były trudne czasy...

Wiesław Mazur, obecnie zastępca kierownika Wydziału Dróg w Starostwie Powiatowym w Siedlcach, w latach 1985-1989 był naczelnikiem gminy Siedlce. A czasy były wówczas zupełnie inne niż dzisiaj: – *Wówczas były pieniądze, lecz nic lub niewiele można było za nie kupić. Dziś jest odwrotnie – towaru jest w bród, lecz nie na wszystko starcza pieniędzy* – wspomina nieodległe przecież czasy Wiesław Mazur.

Jak trudno się żyło w Polsce w tamtych latach dobrze pamiętają ci, którzy je przeżyli. A tym, którzy nie pamiętają, opowiemy słowami Wiesława Mazura:

– *W roku 1985 byłem zastępcą dyrektora Zakładu Zaopatrzenia Rolnictwa WZGS „Samopomoc Chłopska” w Siedlcach. Wówczas była to potężna firma mająca 65 GS-ów na terenie 6 rejonów. Swoją karierę w tej firmie rozpoczynałem w 1972 roku od stanowiska referenta. Wojewodą siedleckim był wówczas pułkownik Janusz Kowalski. Czasy były nieciekawe, bo choć stan wojenny się skończył, to trudne czasy nie. Choć dziś trudno w to uwierzyć, prawie wszystko kupowało się na kartki lub przydziały. Moja praca polegała wtedy głównie na jeźdźeniu po Polsce od firmy do firmy i załatwianiu gdzie się ta a to dodatkowego wagonu węgla, a to transportu płyt z Opoczna, ciężarówki grzejników,*

a to innego deficytowego towaru. Byłem zaprawiony w tych bojach, miałem kontakty, znałem ludzi. Zawsze mi się udało załatwić coś extra dla swojej firmy, czyli w efekcie dla społeczeństwa z tego terenu. Pewnie dlatego moja kandydatura została wytypowana na naczelnika gminy Siedlce. Oczywiście na temat mojej kandydatury wypowiedzieli się wszyscy, którzy wówczas musieli. Ale wybór musiała zaaprobować Rada Gminy Siedlce. Przewodniczącym Rady Gminy był wówczas śp. Edward Grudzień, ówczesny dyrektor Banku Spółdzielczego w Siedlcach, wspaniała człowiek, z dużym doświadczeniem na tym stanowisku. Miałem 35 lat, byłem więc młody i miałem mnóstwo energii. Uznano, że mogę być pomocny na tym stanowisku. Rada Gminy Siedlce wybrała mnie na swojego naczelnika – wspomina Wiesław Mazur.

W tamtym czasie gmina Siedlce liczyła ok. 13 tysięcy mieszkańców. Większość byli to rolnicy, którzy uprawiali ziemię, hodowali krowy, świnie, kury. Było nieco inaczej niż dziś. Rolnicy potrzebowali pustaków, cementu, węgla, drewna, stali, eternitu żeby wybudować stodołę, oborę, dom, kurnik. Potrzebowali paliwa do ciągnika, maszyn rolniczych. Wszystko to było wówczas dzielone pomiędzy ludzi w Urzędzie Gminy na tzw. przydziały. Towaru do podziału zawsze było mniej, niż chętnych. Wielkość przydziału danego



*Restauracja
w Iganiach,
przy drodze
na Warszawę
lata 70. XX w.*



towaru na gospodarstwo była ściśle określona. Żeby przydzielić więcej, trzeba było postarać się o dodatkowy towar. – *Były kolejki społeczne, listy. Ci co dostali towar, mniej chwalili, a ci, dla których zabrakło – złorzeczyli. Pod moim gabinetem rozgrywały się prawdziwie dantejskie sceny. To było w tej pracy najtrudniejsze* – wspomina Wiesław Mazur. Trudno się dziwić ludziom, bo np. „na komin” można był przydzielić 1500 kg węgla, a gdy udało się załatwić dodatkowy transport – dodatkowo dla gospodarstwa można było dostać jeszcze 500 kg.

Warunki pracy w Urzędzie Gminy, który mieścił się wówczas w wynajmowanym od miasta budynku na rogu ul. Kościuszki, były bardzo trudne. Węglowe piece, brak toalety i bieżącej wody, szcury grasujące w podwórku to tylko niektóre z niedogodności. Nowy naczelnik niezwłocznie postanowił, że coś z tym trzeba zrobić. Możliwości nie było wiele, ale od czegoś trzeba było zacząć. W jego ocenie sprawą niecierpiącą zwłoki była toaleta i bieżąca woda w budynku, w którym mieścił się urząd gminy. Remont rozpoczął za zgodą przewodniczącego Rady Gminy. Wykorzystując znajomości załatwił rury, sedesy, umywalki i inne potrzebne materiały budowlane. – *Ekipy remontowej użył dyrektor Baran z POM-u w Żelkowie. Pracownicy Urzędu Gminy w czynie społecznym za darmo i po godzinach rozbierali piec węglowy, wylewali posadzki, malowali. Dzięki temu w budyn-*

ku pojawiła się woda i toaleta z dwoma oczkami – dla pań i panów. O tej mojej pierwszej inwestycji wspomniał zresztą obecny wójt w czasie otwarcia nowego budynku gminy – opowiada Wiesław Mazur.

- Niewiele dziś mówi się o tym, że od początku mojej pracy na tym stanowisku szukałem możliwości budowy nowej siedziby urzędu gminy. Były propozycje, aby przenieść urząd do budowanego wówczas nowego budynku Gminnego Ośrodka Kultury w Chodowie, lecz inwestycja się ciągnęła, część radnych nie chciała o tym słyszeć i nic z tego nie wyszło. Nie wiem, czy są jeszcze osoby, które pamiętają, że w miejscu, gdzie dziś stoi budynek urzędu, Telekomunikacja rozpoczęła pod koniec lat 70. budowę, która zatrzymała się na etapie fundamentów. Dowiedziałem się, że Telekomunikacja nie będzie kontynuować tej budowy. Już wtedy myślałem, że miejsce to byłoby jak znalazł pod nowy budynek. Po moim odejściu prace w tym kierunku kontynuował nowy naczelnik, a później wójt Zygmunt Wielogórski. Całą inwestycję jednak rozpoczął i doprowadził do końca obecny wójt Mirosław Bieniek.

Druga połowa lat 80. to czas budowy świetlic wiejskich w gminie Siedlce. Pierwsza powstała świetlica w Pruszyńcu, w całości wybudowana w czynie społecznym przez mieszkańców wsi. W Pruszyńcu aktywnie działała wówczas (i działa obecnie) Ochotnicza Straż Pożarna. W sąsiedniej wsi Pruszynek strażacy

- ochotnicy działali równie prężnie i mieli nie mniej osiągnięć. Mieszkańcy powoływali społeczne komitety budowy, zbierali pieniądze, występowali do Rady Gminy o pomoc finansową i o przydział materiałów. – Staraliśmy się pozyskać dodatkowe przydziały materiałów budowlanych na te świetlice od wojewody. Z tym był zawsze problem, ale i tak w gminie Siedlcach mieszkańcy dostawali więcej, niż w innych gminach. Mimo to dzieląc to, co dostawałem do podziału, zawsze miałem dylemat. Nigdy nie było tak, żeby wystarczyło dla wszystkich. Dobrego wyjścia z tej sytuacji nie było – wspomina Wiesław Mazur. Mimo trudności i deficytów w czasie jego pracy w gminie w czynie społecznym mieszkańcy wybudowali świetlice w Pruszyńcu, Strzale, Grabianowie, Błogoszczy, Rakowcu.

Mimo dużego zróżnicowania mieszkańcy gminy Siedlce w tych trudnych czasach potrafili się zmobilizować i wspólnie działać dla dobra ogółu. Wiesław Mazur tak wspomina budowę drogi gminnej na odcinku ok. 2 kilometrów pomiędzy Grubalami i Osinami: *- Nie zapomnę tego widoku do śmierci, bo nigdy niczego podobnego nie widziałem. Było to jesienią 1986 roku. Uprosiłem dyrektora Rejonu Dróg w Siedlcach, żeby pomógł nam zrobić betonową podbudowę tej drogi. Warunkiem jednak było, że po nawiezieniu żwiru i betonu na drogę wyjdą ludzie i ręcznie rozgarną je na powierzchni całej drogi. Czasu było mało, bo tylko*

dwa dni. Dość wcześnie zapadał zmierzch i robiło się ciemno. Gdy pojechałem do Osin ujrzałem coś niesamowitego – na terenie całej drogi wylegli mieszkańcy. Byli tam wszyscy, i duzi i mali, nawet ledwo trzymające się na nogach staruszki i kilkulatek. Kto nie dał rady równać drogi, ten trzymał latarkę, świeczkę lub lampę. Wyglądało to niesamowicie, jak ogromny rój światełek. Czuło się w tym wielką siłę i zdeteminowanie ludzi. Dodam, że ludzi porwał do tego czynu społecznik i organizator Baltazar Zawadzki.

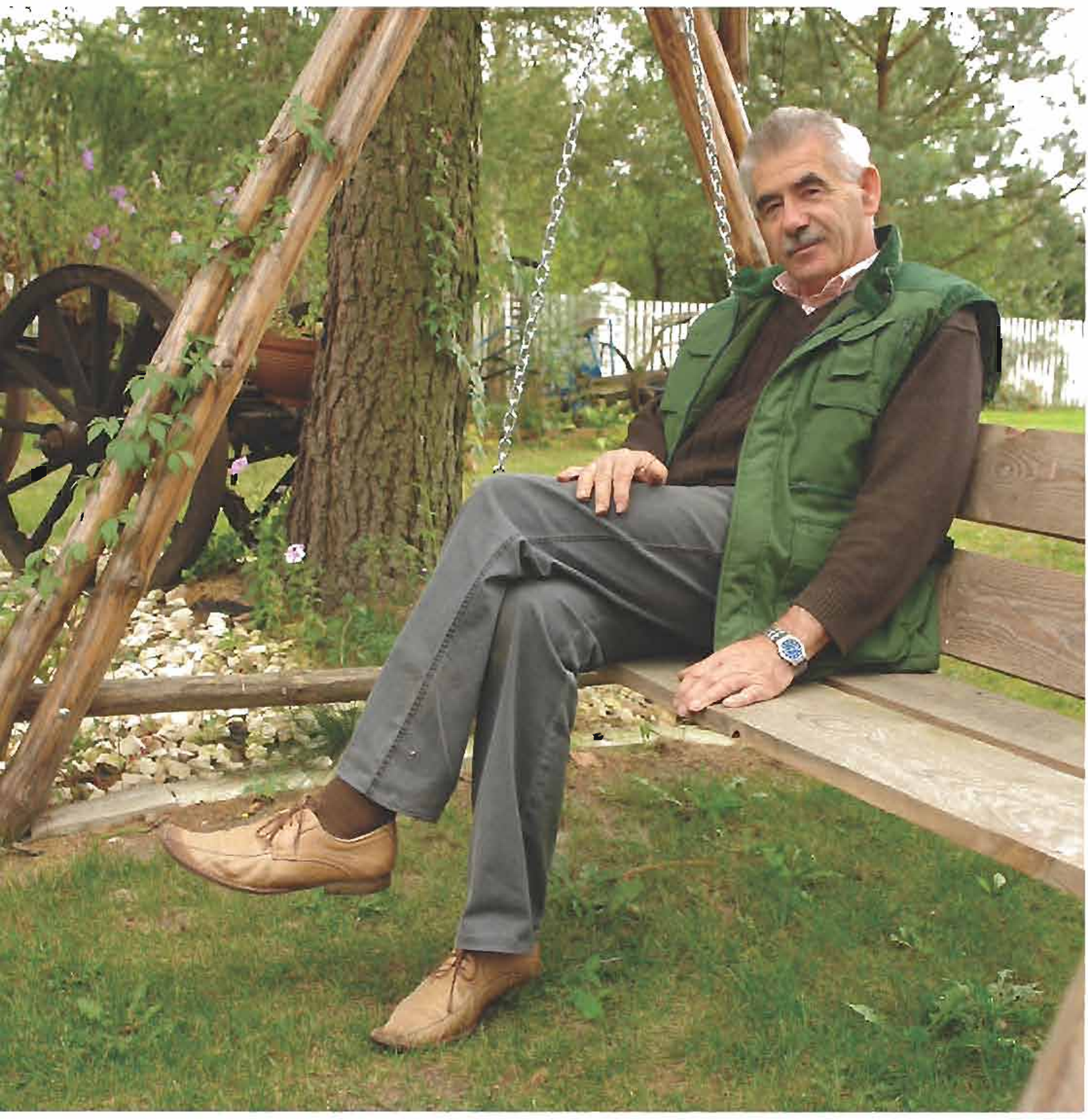
Potem był sklep i przystanek PKS. Pierwsza linia autobusowa poza Siedlce, która jeździła do Stoku Lackiego, a potem dalej, do Osin, Grubal, Pustek. Ludzie zaczęli rozumieć, że jeśli coś będą chcieli zrobić dla siebie, to od gminy dostaną pomoc. Dzięki takiemu podejściu Wiesława Mazura udało się np. wybudować kościół w Opolu Nowym i dokończyć kościół w Wołyńcach. – Część materiałów na budowę: cement, stal, siporex, deski rozpisywaliśmy przydziałami na pracowników urzędu gminy i rolników, a dostawał je ksiądz na budowę kościoła. Takie były czasy i tak tylko można było coś więcej zrobić dla ludzi – wzdycha Wiesław Mazur.

O inwestycjach w infrastrukturę na wsi nie mówiło się wówczas wcale. Gmina nie dysponowała swoimi środkami, wszystko co dostawała, przychodziło z góry, również wytyczne co do wydatkowania przydzielonych pieniędzy. Niewiele można było więc zrobić. Przy-

szły rozwój gminy rozpoczęła budowa studni głębinowej w Stoku Lackim oraz wytyczenie podmiejskiej linii PKS w kierunku wschodnim. To, co umożliwiło później intensywny rozwój gminy – budowa infrastruktury: wodociągów, gazociągów, kanalizacji, telefonizacja – było możliwe dopiero w latach 90., po zmianach ustrojowych.

Praca dla mieszkańców gminy Siedlce dla Wiesława Mazura zakończyła się na sesji Rady Gminy 30 czerwca 1989 roku. Dostał propozycję innej pracy i uznał, że czas uracać do handlu. Pomimo złożonej wcześniej rezygnacji z funkcji naczelnika radni nie chcieli zgodzić się na jego odejście. Po dwóch negatywnych głosowaniach poprosił o przerwę i w kuluarach tłumaczył powody swojego odejścia, w które radni nie chcieli uwierzyć. Gwarantował również, że jego następca Zygmunt Wielogórski ich nie zawiedzie. Dopiero trzecie głosowanie pozwoliło mu na odejście.

– Miałem satysfakcję, że docenili mnie za moją pracę. Warto było dla tych ludzi pracować, tracić nerwy. Mam nadzieję, że pozostawiłem po sobie dobre wspomnienia, bo ja ten okres swojego życia wspominam zawsze z nostalgią. Poznałem wielu wspaniałych ludzi, którzy przez wiele lat po moim odejściu pamiętali o mnie, zapraszali na spotkania i wspominali trudne czasy. Wiele osób do dziś daje mi do zrozumienia, że nie tylko pamięta moją pracę, ale i bardzo pozytywnie ją ocenia – opowiada Wiesław Mazur. ■



Marek Plichta

Historię tworzą ludzie

By ludziom żyło się lepiej

Rolnik, doradca rolniczy, nauczyciel akademicki, dyrektor Mazowieckiego Centrum Hodowli i Rozrodu Zwierząt Zakładu w Żelkowie. Wieloletni przewodniczący Rady Gminy Siedlce, radny gminny od 1978 do 2002 roku, wójt gminy Siedlce od marca do listopada 1994 roku. Obecnie drugą kadencję reprezentuje interesy gminy Siedlce w samorządzie powiatowym.

Marek Plichta urodził się w Siedlcach w 1949 roku. Rolnictwem zajął się świadomie, wybierając studia na wydziale rolniczym w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Do Chodowa przeprowadził się w 1975 roku po poślubieniu Grażyny, wnuczki Szczepana Ciekota. Już trzy lata później trafił do Gminnej Rady Narodowej najpierw jako radny, zaś od 1982 roku jako jej przewodniczący.

Do pracy w radzie gminy Siedlce wciągnął go Edward Grudzień, podówczas dyrektor Banku Spółdzielczego w Siedlcach i przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Siedlcach. *- Był kilka kadencji przewodniczącym rady i od niego wszystkiego się uczyłem. Zawsze miał czas, aby kogoś wysłuchać i w miarę możliwości coś doradzić lub pomóc. To był uspaniały, sympatyczny człowiek, znana postać w polskiej bankowości spółdzielczej. Dzięki niemu zdobyłem szlify jako radny, potem pomagał mi, gdy zostałem wybrany na przewodniczącego rady* – wspomina Marek Plichta.

Trudne lata osiemdziesiąte przyniosły decyzję o prowadzeniu gospodarstwa rolnego w Chodowie. Marek Plichta przez 10 lat kontynuował chlubne tradycje rodu Ciekotów, prowadząc na 13 hektarach gospodarstwo ogrodniczowarzywnicze. Z tego okresu najlepiej pamięta zdumienie ludzi, że chłopakowi po studiach chce się pracować na ziemi. *- Ludzie dziwili się, że nie szukam łatwiejszej i mniej męczącej pracy, ale ja to lubiłem. Poza tym doświadczenie, które człowiek zdobywa prowadząc własne gospodarstwo, jest bezcennym uzupełnieniem książkowej wiedzy. Zdobyte wówczas doświadczenie bardzo mi się przydało w dalszym życiu zawodowym. Zawsze umiałem znaleźć wspólny język z innymi rolnikami* – opowiada Marek Plichta. W 1990 roku wygrywa konkurs na dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Siedlcach. Wkrótce rozpoczyna starania o pozyskanie środków na remont starego budynku szkoły rolniczej przy ul. Kazimierzowskiej. Starania po dwóch latach zostają uwieńczone sukcesem, a po kolejnych dwóch latach WORD przeprowadza się z ulicy Karowej na Kazimierzowską. W 1995 roku po raz pierwszy odbywają się tam Dni z Doradztwem Rolniczym, które zakończyły się dużym sukcesem i wzbudziły ogromne zainteresowanie rolników i hodowców z całego regionu.

Pracę zawodową udaje mu się łączyć z pracą w radzie. Pierwsze lata pracy w gminnej radzie narodowej to przede wszystkim nauka procedur, przepisów, zwyczajów. *- Raczej trudno porównywać to, co działo*

*Marek Plichta
przed swoją
kolekcją
starych
samochodów,
a jest ich 13!*



88

się na szczeblu gminnym pod koniec lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych z tym, co działo się na początku lat dziewięćdziesiątych i obecnie. Ten pierwszy okres trudno nazwać samorządnością, bowiem wiele wytycznych przychodziło z góry. Infrastruktura na wsiach była bardzo słabo rozwinięta, ale gmina niewiele w tej sprawie mogła zrobić. Owszem, coś tam się działo, ale inicjatywa w takich razach zawsze należała do mieszkańców. Jeśli chcieli coś u siebie zrobić, musieli zawiązać komitet społeczny, zebrać pieniądze na wkład własny, zwołać ludzi do wy-

konania jakiejś części inwestycji w czynie społecznym. Gmina to wszystko ogarniała pod względem administracyjnym, przygotowywała plany, zdobywała od wojewody dodatkowe pieniądze, nadzorowała finansowo. Ale zawsze w takich sytuacjach musiał być jakiś lokalny lider, który skrzyknął ludzi, „wychodził” zaangażowanie władz, pozalałwiał wszystkie zgody – wspomina Marek Plichta.

Przemiany ustrojowe i powołanie w 1990 roku samorządów przyniosło prawdziwą rewolucję. Gminy nadal otrzymywały dotacje z województwa na cześć zadań, ale po raz pieru-



szy pojawiły się również pieniądze wypracowywane na szczeblu gminnym, które można było inwestować w budowę infrastruktury technicznej. Ludzie chcieli mieć w domach bieżącą wodę, telefon, gaz. Chcieli mieć w domach łazienki, splukiwane wodą sedesy, pralki automatyczne. – *W naszej gminie zawsze dużo ludzi pracowało w zawodach pozarolniczych, również w mieście i trudno się dziwić, że chcieli mieć w domu to samo, co ich miastowi koledzy. Dlatego zaczęliśmy od budowy stacji uzdatniania wody i wodociągów w kolejnych wsiach. Potem przyszedł czas na gazociągi, a równocześnie*

Telekomunikacja w większych wsiach ciągnęła linie telefoniczne – tłumaczy Marek Plichta. – Mieliliśmy też swoje województwo, a ponieważ wojewoda wywodził się z tej ziemi i od podszewki znał nasze problemy, więc dużo łatwiej było się do niego dostać na rozmowę i łatwiej było przekonać do swoich racji – dodaje.

Marek Plichta ma za sobą również epizod zarządzania gminą. Przez krótki okres (ok. 8 miesięcy) w 1994 roku, po powołaniu ówczesnego wójta Zygmunta Wielogórskiego na stanowisko wojewody siedleckiego, pełnił funkcję wójta gminy Siedlce. – *To była praca*



na pełen etat i trudno mi było pogodzić ją z innymi moimi obowiązkami. Pisałem wtedy pracę doktorską z doradztwa rolniczego. Zdecydowałem, że jej szybkie ukończenie jest dla mnie najważniejsze. Dlatego nie kandydowałem na wójta w kolejnych wyborach. Potem się okazało, że dobrze zrobiłem. Mając obroniony doktorat zostałem zaproszony do współpracy z Akademią Podlaską i przez 12 lat zajmowałem się pracą dydaktyczną ze studentami. Praca z młodymi ludźmi daje bardzo dużo satysfakcji, mobilizuje do nauki, do śledzenia na bieżąco, co się dzieje w nauce świa-

towej. Studenci byli zainteresowani tym, co przygotowywałem na wykłady i seminaria, na moje zajęcia zawsze przychodzili licznie – wspomina Marek Plichta.

Lata 1990-2002 przyniosły gwałtowny rozwój infrastruktury technicznej na terenie gminy Siedlce. Ale wraz z budową nawierzchni dróg gminnych, budową wodociągów i gazociągów rosły ludzkie wymagania i żądania. Szybko się okazało, że bieżąca woda lecząca z kranu generuje dużo większą ilość ścieków, których trzeba się jakoś pozbyć. Przydomowe szamba nie zostały obliczone na kąpiele w wannach, zmywarki i pralki automatyczne. Dlatego coraz

większy nacisk radni zaczęły kłaść na rozwój kanalizacji. Niestety, sieć kanalizacyjna to bardzo kosztowna inwestycja, wymaga bowiem głębokich wykopów, budowy przyłączy dla wszystkich gospodarstw, a nie wszystkie, ze względu na koszty, są zainteresowane przyłączeniem. – *Już po zbudowaniu pieruszej nitki kanału zorientowaliśmy się, że temat nie kończy się z chwilą zakończenia budowy. Ktoś musi o ten kanał dbać, czyścić, załatwiać formalności związane z przyłączeniem kolejnych gospodarstw, rozliczać opłaty za ścieki. Dlatego zdecydowaliśmy się na wykup udziałów w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji w Siedlcach. Oczywiście korzystamy z tego, że gmina jest położona dookoła miasta, i dzięki temu jest to możliwe, ale jest to bardzo korzystny dla nas układ. Wiele problemów załatwia teraz za nas spółka, która zatrudnia dobrze wykształconych specjalistów z dużym doświadczeniem* – zachwała Marek Plichta.

Obecnie Marek Plichta już drugą kadencję reprezentuje interesy gminy Siedlce na forum samorządu siedleckiego powiatu ziemskiego. – *Pracuje się spokojniej, może dlatego, że mniej dotykamy indywidualnych ludzkich problemów, które wymagają szybkiego załatwienia* – opowiada Marek Plichta. – *Zajmujemy się głównie drogami powiatowymi, których mamy bardzo dużo. Ich stan nie poprawi się szybko, bo choć co roku wykładamy spore pieniądze na remonty i przebudowy, to nigdy nie udaje nam się zaspokoić*

wszystkich najpilniejszych potrzeb. Dlatego cieszymy się, gdy gminy godzą się na wspólne z nami inwestycje, bo dzięki temu możemy coś zrobić szybciej i taniej. Zawsze też na radzie toczą się gorące dyskusje, którą inwestycję należy zrobić wcześniej, a która może jeszcze poczekać. Potrzeb jest dużo, a środki ograniczone. Dlatego zawsze trzeba znaleźć jakiś kompromis, ustalić priorytety. Wszystkie samorządy są niestety w podobnej sytuacji. Państwo nakłada na nie coraz więcej zadań, a nie idą za tym pieniądze. Trudno się dziwić, że samorządy robią rachunek ekonomiczny i np. likwidują niektóre szkoły. Nie jest to łatwa decyzja, bo idą za tym bardzo negatywne emocje ludzi, ale jest to uzasadnione ekonomicznie.

Marek Plichta pytany, co powoduje, że od 34 lat pracuje jako radny odpowiada: – *Nie, to nie jest przyzwyczajenie. Jestem aktywną osobą, poza tym pracą w samorządzie zajmuję się od wielu lat. Znam bardzo wielu ludzi, z wieloma jestem na ty, nauzajem się szanujemy, co znakomicie ułatwia tę pracę. Ale główny powód to ten, że chcę pomóc ludziom, aby żyło im się w tej naszej lokalnej ojczyźnie łatwiej i lepiej. Bo ludzie są warci tego. Komfort życia na wsi powinien być zbliżony do tego, jak ludzie żyją w mieście. Cieszy mnie, że w ludziach ta świadomość jest też coraz powszechniejsza, że starają się brać coraz żywszy udział w życiu swoich wsi. Razem można więcej zrobić, ale trzeba mieć do siebie zaufanie i nauzajem się szanować.* ■



Trudna sztuka kompromisu

Nauczyciel akademicki, radny, hodowca grzybów, w szczególności pieczarek. Swojemu hobby oddaje się z upodobaniem już od wielu lat, przekazując zdobytą we własnej pieczarkarni wiedzę nowym adeptom trudnej sztuki hodowli grzybów jadalnych na kursach i studiach podyplomowych.

Urodzony we wsi Tatarczysko w powiecie garwolińskim w 1956 roku. Ukończył studia na wydziale melioracji wodnych Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Do 2011 roku pracował jako nauczyciel akademicki w Pracowni Agrometeorologii i Podstaw Melioracji Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach. Obecnie przeniósł się do Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Ciechanowie, gdzie podjął pracę na wydziale inżynierii i ekonomii. Od wielu lat pracuje również jako przewodniczący Komitetu Okręgowego Olimpiady Wiedzy i Umiejętności Rolniczych okręgu mazowieckiego, która jest organizowana przy Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach od 1977 roku.

Pracę w radzie gminy Siedlce kontynuuje już trzecią kadencję, choć po raz pierwszy pełni w niej funkcję przewodniczącego Rady. – *Jako radny pilnuję interesów wyborców, zaś jako przewodniczący Rady mam nieco inne zadania – kieruję pracą Rady, prowadzę sesje rady*

gminy. W każdy czwartek jestem w urzędzie gminy na dyżurze, dostępny dla wszystkich interesantów – opowiada Grzegorz Koc. – Ludzie przychodzą do mnie z różnymi problemami, choć nie zawsze mogę im pomóc. Najwięcej problemów zgłaszanych przez mieszkańców gminy dotyczy planu zagospodarowania przestrzennego, w którym grunty rolnicze ludzie chcą pilnie przekształcić w działki budowlane, najczęściej na sprzedaż. Rozumiem ich potrzeby, ale zmiana przeznaczenia gruntów nie jest taka prosta, wymaga czasu i pieniędzy oraz oczywiście uchwały Rady w tej sprawie. Nie da się tego zrobić od ręki – tłumaczy Grzegorz Koc.

Rada Gminy Siedlce zajmuje się również innymi problemami. Mieszkańcy chcieliby, by gmina budowała ciągi pieszo-rowerowe wzdłuż ruchliwszych dróg gminnych, a także współfinansowała budowę takich ciągów wzdłuż dróg powiatowych i wojewódzkich. Mają takie chodniki Iganie Stare i Nowe, ma Strzała oraz Chodów, w najbliższym czasie będą zbudowane takie ciągi w Żelkowie. Inwestycje te wykonywane są wspólnie z Generalną Dyrekcją Dróg Krajowych i Autostrad, aby polepszyć bezpieczeństwo pieszych i rowerzystów na coraz bardziej ruchliwych drogach.

Do 2015 roku gmina chciałaby zakończyć kanalizację największych wsi. Obecnie można mówić już o tym, że ok. 65%

nie jest z gumy, nie da się zrobić wszystkiego od razu - wzdycha.

Doktor Grzegorz Koc jest też wielkim miłośnikiem grzybów. Były one przedmiotem jego wielu badań naukowych, są również przedmiotem organizowanych przez niego studiów podyplomowych dla producentów grzybów jadalnych.

Okazuje się, że region Siedlce – Łosice to jeden z największych obszarów produkcji pieczarki w naszym kraju. Jedną z największych pieczarkarni w Europie znajduje się we wsi Nowosielec, zaś największe Centrum Logistyczne, w którym nasze grzyby są pakowane na samochody i wyruszają do sklepów całej Europy i połowy Azji znajduje się w Kopcach w gminie Huszlew. – *Nasza polska pieczarka jest najlepsza. Ma wyjątkowe walory smakowe. Trudno się dziwić, że chcą ją jeść w Rosji, na Łotwie, we Francji, Anglii i Niemczech. Konkurujemy z zagranicznymi producentami przede wszystkim kosztem robocizny. Nasz grzyb jest ręcznie zbierany, producent obchodzi się z nim delikatnie, co pozwala mu dłużej zachować świeżość i ładny wygląd. Te mechanicznie zbierane nadają się jedynie na przetwory* – zapewnia Grzegorz Koc.

W swojej pieczarkarni posiada niedużą kolekcję grzybów egzotycznych. Są tam grzyby shiitake, bocznik ostrygowaty, lakounica lśniąca, grzyby nameko. Grzyby te są uprawiane na duża skalę w Japonii i Chinach,

w Polsce ich uprawa stanowi jedynie ok. 0,5% wszystkich upraw grzybów. – *Moja kolekcja jest czysto amatorska, nie uprawiam ich na sprzedaż, lecz raczej dla siebie. Dostałem grzybnię w prezencie i tak to się zaczęło. Wiele z nich ma nie tylko ciekawy smak, ale również dużo soli mineralnych, witamin, błonnika i sporo białka, choć nie tak dobrze przyswajalnego, jak to z mięsa. Grzyby egzotyczne mają również właściwości lecznicze, o których medycyna chińska wie od tysięcy lat i wykorzystuje je w leczeniu wielu chorób. Na przykład wyciąg z grzybów shiitake wykorzystywany jest do obniżania poziomu cholesterolu, ciśnienia, wzmacniania systemu odpornościowego. Jego spożywanie spowalnia również procesy starzenia organizmu i zapobiega chorobom serca, nowotworom i otyłości – z pasją opowiada Grzegorz Koc. – A uprawa tego grzyba nie jest wcale trudna, można to robić nawet w domu, tylko na własne potrzeby. Gotową grzybnię zaszczerpioną na odpowiednim podłożu można kupić za pośrednictwem Internetu. Kostkę z grzybnią najpierw moczymy, a następnie zawijamy w dużą torbę foliową. Pielęgnacja polega na dbaniu o kilkakrotne przewietrzenie grzybni i o to, by była ona wilgotna. Po kilku dniach możemy liczyć na pierusze pyszne grzyby. Z jednej kostki grzybni otrzymamy około sześciu zbiorów grzybów.* ■



„Udało się...”

Przewodniczący Rady Gminy Siedlce dwóch kadencji, w latach 2002–2010.

„Miałem ogromne szczęście, pracowałem od początku transformacji ustrojowej, uczyłem się demokracji, spotkałem wspólnych ludzi. Nie zawsze było tak, jak chciałem, ale demokracja jest po to, żeby dyskutować i dochodzić do kompromisów. To żmudna praca” – tak o początkach swojej działalności przewodniczącego wspomina pan Janusz Mikulski.

Pan Janusz prowadzi gospodarstwo rolne specjalizujące się w hodowli trzody chlewnej. Mówi, że to jego wielka pasja, którą odkrył w sobie w 1989 roku, kiedy to rodzice przekazali mu gospodarkę. Ubolewa, że obecnie w Iganiach są tylko 3 osoby prowadzące gospodarstwa rolne.

Wcześniej pracował 11 lat na kolei jako maszynista (po ukończeniu Technikum Kolejowego w Warszawie), w biurze i dyspozytorni. *•le zaczęło dziać się na kolei, w 1989 roku nastąpiły duże zmiany, zaczęto zwalniać ludzi; nie czekałem – odszedłem z pracy.*

Obydwójce z żoną, która też pracowała zawodowo, zajęli się gospodarstwem. Mają troje – jak mówi – *fantastycznych dzieci*. Najstarsza córka pracuje na Politechnice Warszawskiej, jeździ po świecie. Młodsza, po studiach, pracuje w Siedlcach, syn – studiuje. *- Jestem z nich dumny.*

Pytany o sukcesy w pracy samorządowej, odpowiada, że największym osiągnięciem tamtych lat był plan zagospodarowania przestrzennego gminy Siedlce. Udało się go wykonać dla całej gminy, dzięki czemu mogła się ona szybko rozwijać, mieszkańcom stworzono możliwości decydowania o gruntach, ich sprzedaży czy też planowania budownictwa.

Wtedy też wydzielono tereny pod budownictwo jednorodzinne, gdzie dzisiaj buduje się osiedle „Ciche Iganie”, jak też teren pod obwodnicę Stoku Lackiego.

Nie było łatwo, bowiem każdy mieszkaniec chciał mieć udogodnienia, drogi – byle nie musiał przeznaczyć na to kawałka swojej ziemi. Pan Janusz odpowiadał im wtedy: *- dobrze by było żeby działki były w Iganiach a drogi w Warszawie.*

Ale udało się. Dzisiaj Iganie to nie te sprzed 20 lat. Udało się jeszcze wiele innych dokonań, jak gazyfikacja, kanalizacja. Iganie jako pierwsza wieś w gminie miały gaz ziemny – powstał Komitet Budowy Gazociągu, mieszkańcy opodatkowali się i w każdym gospodarstwie (które chciało) zaczęto korzystać z gazu.

Potem zaprojektowano sieć kanalizacyjną. Jest ona we wsi już 14 lat; też zaczęto budować ja od Igań. Ówczesna pani sołtys cierpliwie przekonywała mieszkańców do konieczności założenia kanalizacji. Nie było sprzeciwów i znowu „udało się”.

- Dzisiaj cieszę się, jak widzę w dni deszczowe, na ulicy Prądzyńskiego



ściekającą wodę, bo wiem, że spływa ona do kanalizacji – z uśmiechem opowiada pan Janusz.

Pan Janusz ma też udział w zainicjowaniu tworzenia funduszu sołeckiego – z pieniędzy funduszu zbudowano m.in. chodnik przy ul. Prądyńskiego. Do tego też trzeba było wykazać się umiejętnością negocjacji z miejscową społecznością.

Na pytanie, jaki wpływ na rozwój gminy miały firmy powstające na jej terenie, pan Janusz odpowiada: *- cieszyliśmy się z każdej nowej firmy, bo to oznaczało rozwój naszej gminy, to oznaczało lepszy byt jej mieszkańców. Cieszyliśmy się z podatków, które oni płacili. Bo obok subwencji państwowych, to ważne źródło finansowania przedsięwzięć w gminie. Gmina Siedlce jako pierwsza wprowadziła też podatek od nieruchomości.*

O pracy w Samorządzie pan Janusz mówi, że to - *współpraca wielu ludzi, z których każdy oddzielnie niewiele może zrobić, tylko współdziałanie przynosi efekty. To też odpowiedzialność zbiorowa. Interesy indywidualne utrudniają pracę.*

- Po przegranych wyborach było mi trochę smutno, ale wkrótce odkryłem, że żyję spokojniej, telefon mniej dzwoni, mam więcej czasu, że świat jest taki piękny. Dobrze odejść ze świadomością, że udało się zrobić coś dobrego.

Ale jak to pracoholik, znalazł pan Janusz kolejne zajęcie – założył stowarzyszenie

„Nasze Iganie”, w którym działają razem z żoną. Jest pomysłodawcą uroczystości listopadowych, które odbywają się pod pomnikiem w Iganicach. Stowarzyszenie dba o porządek wokół pomnika, organizuje prace społeczne, wiele przedsięwzięć kulturalnych dla mieszkańców Igań.

Na zakończenie naszej rozmowy pan Janusz mówi: - *Kocham przyrodę. Po wielu latach pracy szuka się wyciszenia. Czasami żałuję, że wcześniej nie zrezygnowałem, aby móc spokojniej żyć.* ■





Ludzie Gminy



na Medal

Biznes

Opracowała **Urszula Welik**



Jerzy Chromik

Historię tworzą ludzie

Biznes z sercem

Urodzony w 1952 roku na Polesiu Lubelskim, właściciel firmy „Chromex” z Opola Nowego. Pilot wycieczek, aktywny członek PTTK, działacz społeczny, organizator Dnia Radości dla dzieci w Mierzwiach.

Do Siedlec trafił w 1977 roku z Piotrowic pod Lublinem, gdzie był nauczycielem mechanizacji rolnictwa. Do 1985 roku pracował jako mistrz na wydziale obróbki skrawaniem w filii FSO, następnie został powołany na stanowisko dyrektora Zespołu Ekonomicznego gminy Siedlce. Konieczność utrzymania sześciuosobowej rodziny oraz biegła znajomość języka rosyjskiego (certyfikat Instytutu im. A. Puszkina) spowodowały, że podjął dodatkową pracę w charakterze pilota wycieczek zagranicznych. Wyjazdy do Rosji przyniosły znajomość realiów życia w tym kraju oraz rozmaite osobiste znajomości. Braki w zaopatrzeniu końca lat 80. tych i początku lat 90. tych, kłopoty z gotówką oraz problemy ze zbytem wyprodukowanych towarów wymusiły wówczas na firmach handel w barterze. Polegało to na wymianie określonej ilości towaru na inny towar. Jerzy Chromik umiał wykorzystać znajomość języka oraz swoje znajomości na wschodzie i zaczął pośredniczyć w tej bezgotówkowej wymianie pomiędzy firmami z Polski i Rosji. Założył

firmę. Zaczynał skromnie, od wynajęcia hali po starej pieczarkarni, od jednej pracownicy i jednej maszyny do pisania.

W 1996 roku przypadek sprawił, że podczas handlu barterowego trafiła do niego ciężarówka litewskich opon. Opony błyskawicznie znalazły nabywców na giełdzie samochodowej w Słomczynie. Znajoma Rosjanka odpowiedziała mu, że w Woroneżu jest fabryka opon, która ma problemy ze zbytem. Jeden telefon i już wiedział, że dyrektor oponiarskiej firmy właśnie wybiera się w podróż do Polski. Po drodze do Warszawy dyrektor wysiadł w Siedlcach z pociągu. Rozmowy handlowe trwały krótko. Ustalono, że opony z Woroneża trafią do Siedlec, ale kontrahent w zamian chciał dostawać komponenty chemiczne do ich produkcji, które trzeba było kupić na Zachodzie. Tak więc w jedną stronę ciężarówki jechały z komponentami, zaś w drugą, do Polski – wyładowane oponami. – *Spadłem im jak z nieba. To się potoczyło błyskawicznie. Krótko potem współpracę zaproponowała mi firma Michelin, a następnie Goodyear* – opowiada Jerzy Chromik.

Szybko okazało się, że sprzedaż opon nie wystarczy, bowiem klienci mieli coraz większe oczekiwania. – *Było zapotrzebowanie na specjalistyczne usługi* – mobilne serwisy wymiany opon. Taki serwis



dostawał zgłoszenie i jechał tam, gdzie czekała maszyna, np. kombajn czy koparka. *Znakomicie skracało to czas oczekiwania na usługę* – wspomina właściciel „Chromexu”. Obecnie w firmie pracuje nowoczesny, mobilny serwis zbudowany na dużym samochodzie ciężarowym. „Chromex” oferuje obecnie opony do unikalnych maszyn z różnych części świata, nawet te o najbardziej nietypowych rozmiarach. Powierzchnia magazynowa firmy ma ponad 2 tys. m², do tego nowoczesne biuro przy ulicy Lipowej w Opolu Nowym. Firma zatrudnia 20 osób, wśród których wielu pracuje tu od lat.

- Praca nie jest dla mnie celem samym w sobie. To środek do osiągnięcia celu, a tym jest wykształcenie i pomoc w starcie życiowym czwórki moich dzieci – uważa Jerzy Chromik. Jego dzieci ukończyły już studia: bankowość, prawo, anglistykę. Jeden z synów prowadzi podobną firmę jak „Chromex” pod Łodzią.

Jerzego Chromika bardzo interesuje historia własnej rodziny. Obecnie pracuje nad jej monografią od II połowy XVIII wieku. Jego pasja podróżowania po świecie nie wygasła – obecnie jest pilotem i przewodnikiem żony. Co roku od kilkunastu lat uczestniczy w Festiwalu Kultury Kresowej. Jeździ też regularnie na wschód, na kresy.

- Każda taka wyprawa to dla mnie lekcja patriotyzmu – twierdzi. Od lat angażuje się też w różne działania społeczne i charytatywne. Jest m.in. sponsorem i organizatorem „Dnia radości” dla dzieci w Mierzwicach. Jego działalność społeczna została uhonorowana medalem z okazji 45-lecia Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, Nagrodą Starosty Siedleckiego za rok 2005 za działalność charytatywną oraz srebrnym krzyżem zasługi za działalność społeczną i charytatywną, wręczonym mu przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w 2009 roku. ■

TIWONEX



Edward Księżopolski

Historię tworzą ludzie

Wierzyć w siebie i ludzi

Sukces zawdzięcza własnej pracy, mądrym inwestowaniom i doświadczeniu życiowemu. Swoje umiejętności interpersonalne zdobywał w pracy w siedleckim Mostostalu oraz w handlu. Wiele wyniesionych z tamtego okresu doświadczeń i przemyśleń dziś jest motorem jego innowacyjnych działań oraz sukcesów odnoszonych w biznesie.

Urodzony w Siedlcach w 1964 roku. Dzieciństwo i młodość spędził w rodzinnej wsi Tworki pod Wiśniewem. Dużo chorował. Szkolną edukację zakończył w szkole średniej. Gdy koledzy szli na egzamin maturalny, on właśnie rozpoczynał pracę w siedleckim Mostostalu. W tej firmie pracował kilka lat, najpierw na produkcji, potem w dziale technologicznym, następnie w dziale zaopatrzenia. Na tym ostatnim stanowisku po raz pierwszy poczuł, że robi to, co lubi. – *To była moja szkoła życia* – wspomina po latach. Odszedł z pracy pod koniec lat 80.tych, by zająć się handlem na własną rękę. Swoją działalność handlową zaczął łączyć z podróżami, bo dawało mu to poczucie wolności. – *Cały czas sobie tłumaczyłem, że choć nie mam zdrowych nóg, to mam głowę, więc trzeba tą głową pracować* – opowiada Edward Księżopolski.

Problemy ze zdrowiem miał przez wiele lat. Dopiero niedawno zdecydował się

na wszczęcie endoprotezy biodrowej. Do operacji przygotowywał się przez prawie rok intensywnie się rehabilitując i ćwicząc, by wzmocnić wszystkie mięśnie. Udało się – już dwa tygodnie po operacji chodził o kulach, po miesiącu sam pojechał do Warszawy, a po trzech miesiącach jeździł na nartach we Włoszech – *Nie mam czasu na długie chorowanie* – twierdzi Edward Księżopolski.

Na przełomie lat 80.tych i 90.tych przez pewien czas handlował na stadionie X-lecia w Warszawie. Szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że jest to sytuacja przejściowa. Rozkwit tej formy handlu był możliwy dlatego, że brakowało przepisów, które ujęłyby w karby tę oddolną, spontaniczną działalność handlową społeczeństwa. To nie mogło trwać wiecznie. Odkładał zarobione pieniądze i zastanawiał się, jaką dziedziną się zająć, by móc utrzymać rodzinę. Trochę pomógł mu przypadek, a trochę umiejętność słuchania ludzi, którzy podpowiadali, na co jest zapotrzebowanie na rynku. W 1995 roku założył małą drukarnię, właściwie manufakturę. Początkowo mieściła się w garażu przy domu. Drobne zamówienia pozwalały żyć, ale na rozwój brakowało pieniędzy.

Przełomem był rok 1999. Wygrany przetarg na usługi drukarskie podczas przygotowań do wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Siedlcach wymusił inwestycje: – *Zainwestowałem w manufakturę*

Edward
Książopolski
w nowobudowanej
hali
drukarni
IWONEX.



108

offsetową – śmieje się Edward Książopolski. Prawdziwy rozwój firmy nastąpił w 2001 roku, gdy postanowił zainwestować wszystkie oszczędności w profesjonalny sprzęt drukarski. Zastanawiał się nad kupnem używanej maszyny, ale okazało się, że nowa kosztuje niewiele więcej, więc zdecydował się na zakup nowej. Okazało się, że był to strzał w dziesiątkę.

– Uczylismy się dopiero pracy na tej nowej maszynie, więc nie obyło się bez awarii i napraw. Gdyby nie to, że miałem gwarancję i zapewniony serwis, zapłaciłbym krocie za ściągnięcie do niej specjalisty – wspomina właściciel drukarni Iwonex.

Rozwój firmy spowodował, że z garażu przeniósł się do wynajmowanych pomieszczeń przy ul. Terespolskiej. I znów pomógł mu przypadek. Siedem lat temu, podczas wyjątkowo mroźniej zimy, wynajmujący zagroził mu wyłączeniem centralnego ogrzewania. Ta sytuacja uświadomiła mu, że tak naprawdę nie jest panem na swoim. Zaczął rozglądać się za odpowiednią działką i szybko znalazł ją w Ujżanowie. Równie szybko poszło zaprojektowanie nowej siedziby. Choć prace inwestycyjne rozpoczęto w październiku, ciepła zima sprzyjała i w styczniu inwestycja była już pod dachem. Osiem miesięcy później wprowadzili się do nowego budynku.

Obecnie drukarnia Iwonex oferuje swoim klientom kompleksową obsługę od projektu aż po wykańczanie. Drukuje gazetki reklamowe, foldery, ulotki, plakaty, katalogi, albumy, książki, czasopisma, etykiety, metki, naklejki, papiery firmowe, teczki, wizytówki, gadzety reklamowe i inne. Wykorzystuje w tym celu technologię offsetową, sitodrukową, tampondruk oraz coraz częściej druk wielkoformatowy. Do jej stałych klientów należą firmy z całej Polski, w tym wiele bardzo dużych i znanych.

Gdy pytam Edwarda Książopolskiego o receptę na sukces w biznesie odpowiada: *- Gdy byłem młody ktoś powiedział mi, że pieniądze oszczędza się wtedy, gdy są. Ja nie wydawałem tego, co zarobiłem na handlu na przyjemności czy przedmioty, których nie musiałem mieć, tylko odkładałem z myślą o przyszłości. Nigdy nie kupowałem tego, na co mnie nie było stać. Inna osoba powiedziała, że będę zarabiał tyle, ile włożę w to serca. To prawda. Trzeba lubić to, co się robi i pracować z zaangażowaniem. Ja lubię swoją pracę i mogę powiedzieć, że sprawia mi przyjemność. Lubię spotkania z ludźmi, lubię z nimi rozmawiać. Cały czas się od nich czegoś uczę. W firmie nie myślę tylko o tym, czym zajmuję się teraz. Planuję swoje działania z większym wyprzedzeniem. Nie interesuje mnie to, co robi konkurencja. Nie naśladowuję nikogo. Nauczyłem się polegać na sobie i swo-*

jej intuicji. Mam własną wizję rozwoju firmy. Jak jej już nie będę miał, to zajmę się czymś innym.

Największą przyjemność sprawia mu podróżowanie. *- Podróże po świecie to spełnienie moich marzeń. Lubię być w ruchu. Na pielgrzymce do Ziemi Świętej poznałem fajnych ludzi i teraz staramy się organizować wspólne wyjazdy po świecie. Zazwyczaj podróżuję z żoną, ale nie zawsze jest to możliwe, bo mamy małe dziecko i dwie nastoletnie córki* – opowiada Edward Książopolski. Był w wielu krajach: Izrael, Egipt, Hiszpania, Włochy, Węgry, Austria i w wielu innych. Jednak jego ulubionym krajem pozostają Włochy. Podobają mu się kolory tego kraju, słońce, lazurowe niebo, śnieg w Alpach, smakuje mu tam jedzenie i wino. Do tego zabytki, dobra i niedroga baza turystyczna. Dlatego wraca tam co roku, mimo wielu podróży w różne zakątki globu.

Nasz bohater nie wydaje pieniędzy jedynie na podróże po świecie. W jego firmie jest ściana, na którą trafiają podziękowania od ludzi. Umie wspomóc mądrze, tak, żeby datek został wykorzystany na rzecz pilną i zarazem potrzebną. Na rehabilitację chorych, na ozdobienie ścian szpitala kolorowymi wydrukami pięknych grafik. Zbyt dużo tego, żeby napisać o wszystkich. Kto jest ciekawy, niech zajrzy do Ujrzano-wa, do drukarni. ■

 POLAN



Mirosław Zwoliński

Historię tworzą ludzie

Z góry widać więcej

Startuje się na łące. Silnik rzezi wydobywając z siebie całą moc. Motolotnia rozpędza się przez jakieś 60 metrów. Trzęsie się wszędzie. I nagle maszyna jak motyl odrywa się od ziemi i wznosi do góry. Lecimy. Robi się ciszej. Nic już nie trzęsie. Robi się przyjemnie. I można patrzeć na wszystko z góry.

Mirosław Zwoliński od ośmiu lat lata na motolotni, bo „ziemia z góry wygląda pięknie”. Młodzieńcza lotnicza pasja, która pomimo kierunkowych studiów nie została zawodowo zrealizowana, do głosu doszła w wieku

dojrzałym. Latanie dało mu napęd do założenie i budowy od podstaw własnej firmy i realizacji innych sportowych pasji – narciarstwa i nurkowania. Jednak przeloty na motolotni to jego największa pasja.

Z wykształcenia inżynier konstruktor lotniczy. Po studiach Mirosław Zwoliński wraz z żoną wrócił do Żaboklik i podjął pierwszą pracę – w siedleckim Mostostalu. Potem był stan wojenny i roczna służba w wojsku na ulicach Warszawy. Po pourocie z wojska wrócił do pracy w Mostostalu. Pracował na dziewięciu różnych stanowiskach w różnych działach. W 1989 roku już jako szef



111

Mirosław
Zwoliński
przed hangarem.



działu kontroli jakości zapisał się na kurs języka niemieckiego. Po jego ukończeniu zakwalifikował się na wyjazd do pracy za granicą z firmy Polres w Rzeszowie. Gdy zgłosił przełożonym ten fakt, dyrektor Aleksander Jonek stwierdził, że wkrótce będzie miał szansę na wyjazd do Niemiec z własnej firmy. Krótko potem wyjechał na kontrakt do Niemiec. – *Pracowałem jako mistrz w niemieckiej firmie produkującej rusztowania. Poznałem wówczas nowe dla mnie zasady prowadzenia wolnorynkowego przedsiębiorstwa. Dopiero tam zrozumiałem, że w polskich firmach można jeszcze dużo zmienić, że można produkować szybciej, mniejszymi siłami i bardziej dbając o jakość produktu. W Niemczech prawdziwy majster to taki, który sam potrafi zrobić każdą robotę i na wszystkim, co robią jego*

ludzie, się zna. Nie powiem, że było lekko, musiałem się wiele nauczyć. Ale poradziłem sobie – uśmiecha się Mirosław Zwoliński. Wrócił do Polski z kontraktu w 1992 roku. W kraju wiały już nowe wiatry, dużo się zmieniło, Mostostal się restrukturyzował i konsolidował. – Trochę podpowiadałem, co należy zrobić, co i jak zmienić, żeby firma wyszła na prostą. W moim odczuciu efekty tych zmiany byłyby najlepsze, gdyby 100% ludzi z firmy miało doświadczenia wyniesione z pracy w Niemczech – opowiada Mirosław Zwoliński. W 1995 roku wyjeżdża ponownie do Niemiec już jako przedstawiciel handlowy Mostostalu. – Tam najlepiej się realizowałem. Rok później pomagałem przy zakładaniu spółki Baumann-Mostostal, a gdy wszystkie formalności zostały związane na ostatni guzik, zostałem jej prezesem.



Motolotniarstwo
- wielka pasja
Mirośława
Zwolińskiego.

W 2004 roku, gdy prowadzona przez niego spółka okrzepła, zamarzył o spełnieniu młodzieńczych marzeń i zapisał się na kurs motolotniowy. – *Nauczyłem się latać i latam do dziś. Dlaczego? Bo to niesłychanie przyjemne. Takich motolotniowych zapaleńców jak ja jest w Areoklubie Siedleckim kilku. Pomogła nam uczelnia i miasto, bo udostępniły nam teren na lądowisko i hangary. Starty i lądowania odbywają się na Błoniach Papieskich, w okolicach dawnego lądowiska dla helikoptera.*

Mirośław Zwoliński ukończył kurs motolotniowy w Chrcynnem koło Nasielska, gdzie mieści się stare wojskowe lotnisko, tam też zakupił swoją pierwszą motolotnię. W Chrcynnem działa bowiem jedyna w Polsce półprofesjonalna wytwórnia motolotni.

Wielu fascynatów latania wykonuje wózki do motolotni samodzielnie, lecz element nośny - tzw. skrzydło - lepiej kupić w wytwórni. – *Samodzielne wykonanie skrzydła jest bardzo trudne, więc lepiej kupić gotowe, od firmy, która zajmuje się tym profesjonalnie* – opowiada Mirośław Zwoliński – *Te dwa elementy - wózek i skrzydło łączy jeszcze jeden element, tzw. przegub kulisty. Całością steruje się poprzez wychylenie środka ciężkości, przyciągając lub odpychając lub przechylając drążek w bok.*

Motolotnia ma dwa miejsca – jedno dla pilota i jedno dla pasażera. Lądować można w każdych warunkach, trzeba też umieć wystartować. Mirośław Zwoliński w ramach ćwiczeń czasem wyłączał silnik i próbował lądować swoją motolotnią „gdzie się dało”.

- *To niesamowita adrenalina, gdy się próbuje takiego awaryjnego lądowania. Jednak raz coś nie wyszło. Warunki były trudne, wiatr był wtedy bardzo silny, wiał podmuchami. Gdy zszedłem niżej nad lotnisko, zrobiłem krąg i wyłączyłem silnik. Dmuchało i już wiedziałem, że będę miał niedolot - nie trafię na początek pasa startowego. Było za późno, żeby coś zrobić. Trach - i zaczęłam wózką o ogrodzenie. Rozbiliśmy się. Na szczęście, choć motolotnia została zniszczona, my wyszliśmy z tego zdarzenia cało. Ciężko było się z tej płataniny połamanych rurek wyplątać. Od tego czasu nie ćwiczę już lądowania awaryjnego - opowiada z uśmiechem Mirosław Zwoliński.*

Latał na motolotni z dziećmi, zabierał na loty ojca, lecz najważniejsze kobiety z rodziny wolą pozostawać na ziemi. - Żona nie lubi latać, bo się boi, mama też. A dla mnie to niesamowite przeżycie - zachwyca się. Mirosław Zwoliński najdalej poleciał do Białegostoku, latał też do Radzyna i nad Mazurami. - Leci się na azymut. Jak w poważnym lotnictwie przygotowuje się plan lotu, posługuje busolą, wyznacza kurs jak dla statku na morzu. Można porównywać elementy obserwowane z góry z tym, co narysowano na mapie. Widoki są cudowne. Najpiękniejsze dla mnie są doliny rzek. Z góry można śledzić, jak rzeka wyłobiliła swoje koryto, widać ślady dawnego przebiegu nurtu,

meandry i zakola. Dla mnie najpiękniejszym widokiem jest dolina Liwca widziana z góry, w dodatku to tylko 5 minut lotu od Siedlec. W okolicy Kisielan można obserwować meandry i przełomy Liwca, widać, jak woda wyłobiliła tę dolinę. Można obserwować jeziora pozostałe po dawnych zakolach rzeki, patrzeć na wspinającą zielen i obserwować zbierające się do odlotu ptaki. Lata się razem z bocianami w chmurach. Jeśli widać, że gdzieś wysoko krąży bocian, to na pewno w tym miejscu jest bąbel ciepłego powietrza. Boćki nie boją się motolotni, traktują ją jak jeszcze jednego ptaka. Dopiero kiedy kurs jest kolizyjny, wtedy odlatują.

Motolotnia wznosi się zazwyczaj na wysokość ok. 300 metrów, ale Mirosław Zwoliński latał i na wysokości 1000 metrów. Problemem jest wtedy temperatura - im wyżej, tym jest zimniej. Gdy na ziemi panuje temperatura 30 stopni, w górze może być ok. 0 stopni. Gdy jest się tak wysoko, motolotnia zaczyna lecieć jak szybowiec - wznosi się na tzw. kominach ciepłego powietrza w górę i opada w kominach zimnego powietrza. Prędkość wznoszenia maszyny wynosi wówczas ok. 2-3 metry na sekundę. - Poziom adrenaliny się podnosi, to daje kopa, za tym się tęskni, to jest jak nałóg - te słowa najlepiej oddają, co czuje człowiek siedząc w kruchej lupince z aluminiowych rurek, z silnikiem i skrzydłem nad głową lecąc kilkaset metrów nad ziemią. W dodatku wiedząc, że gdy coś

zawiedzie, nie ma awaryjnego systemu zasilania, jak w profesjonalnym sprzęcie latającym.

Oprócz latania Mirosław Zwoliński nurkuje i jeździ na nartach. – *Zazwyczaj wyjeżdżam na rafę koralową raz w roku, bo jest to kosztowne i zausze jest sporo problemów organizacyjnych. Nie da się jednak ukryć, że podwodny świat rafy koralowej to świat jak z bajki. Człowiek oglądając te kolorowe cudeńka pod wodą zapomina o wszystkim, cieszy się tylko, mogąc je obserwować.*

Na przeloty na motolotni Mirosław Zwoliński od 6 lat ma mniej czasu. Po sprzedaży spółki Baumann-Mostostal Altradowi w 2006 roku założył firmę Olan. Swoją siedzibę ma w Żaboklikach. Jest to jedna z najprężniej rozwijających się małych i średnich firm z branży rusztowań i szalunków budowlanych wykonanych z aluminium. – *Kapitał założycielski wyłożyli inni, ale odpowiedzialność*

za firmę w całości spadła na mnie. Było bardzo ciężko, czasem żałowałem, że się w to upakowałem. Ale udało się. Było to możliwe dzięki funduszom unijnym na rozwój małych przedsiębiorstw, oraz dzięki Bankowi Polskiej Spółdzielczości S.A., którego udziałowcami są banki spółdzielcze z całej Polski. Moim największym kapitałem są ludzie, dzięki którym każdego klienta obsłużymy od projektu do realizacji zamówienia, zgodnie z jego potrzebami. Latanie na motolotni w chmurach, gdy przez chwilę nie widać nic oprócz mlecznobiałych pasm, często przypomina pracę w biznesie z jego wyzwaniem i nieprzewidywalnością. Dystans do problemów buduję wtedy na fakcie, że każda chmura na pewno kiedyś się skończy i wtedy znów będziemy się cieszyć wspaniałymi widokami – mówi Mirosław Zwoliński. ■





Ludzie Gminy



na Medal

Nauka, Kultura,
Sztuka

Opracowała **Urszula Welik**



Tomasz Skrzyczyński

Historię tworzą ludzie

Ochrona środowiska pasją życia

Tomasz Skrzyczyński – doktor nauk rolniczych, zamieszkały w Nowym Opolu, gm. Siedlce. Urodzony we wsi Krzepielów na Ziemi Lubuskiej w 1946 roku. Syn rolników zamiłowany we wsi i pracy na roli, co miało wpływ na dalsze kształcenie zwłaszcza po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w pobliskim Głogowie. Studiował w Akademii Rolniczej w Szczecinie, gdzie odbył staż akademicki oraz studia doktoranckie.

W czasie studiów i pracy w Szczecinie narodziła się druga pasja, a mianowicie ochrona środowiska. W tym zakresie już w czasie studiów rozpoczął badania naukowe pod koniec lat 60-tych ubiegłego wieku. Początkowo w studenckim Kole Naukowym Botaników, a następnie jako magistrant i doktorant w Katedrze Glebo-

znawstwa. Pracę doktorską napisał na temat wpływu zanieczyszczeń emitowanych do atmosfery na zmianę właściwości gleb.

Praca dydaktyczna na uczelniach w Szczecinie i Siedlcach zaowocowała kolejną pasją dotyczącą metod nauczania, która rozwijała się w czasie pełnienia funkcji prodziekana i prorektora ds. dydaktyki w ówczesnej Wyższej Szkole Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach, a także w Krajowym Centrum Edukacji Rolniczej w Brwinowie na stanowisku dyrektora. Efektem tej pasji było opracowanie wielu programów nauczania wraz z ich obudową dydaktyczną.

Od 1998 roku pracuje w Wojewódzkim Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie, gdzie od 2008 roku pełni funkcję Prezesa Zarządu. ■



Halina i Stanisław Kałużowie

Historię tworzą ludzie

...z Żelkowa Kolonii

Halina Kałuża jest profesorem na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach i kierownikiem Zakładu Ekonomiki, Organizacji Rolnictwa i Agrobiznesu. Jest ekspertem w Centrum Analiz Regionalnych i Lokalnych w Warszawie. Odbyła staże naukowe na Uniwersytecie im. Humboldta w Berlinie, na Uniwersytecie im. Karola Marksa w Lipsku oraz na Uniwersytecie w Budapeszcie. Była uczestnikiem „Warsztatów Lokalnego Ożywienia Gospodarczego” (polsko-amerykański program partnerstwa lokalnego). Uczestniczyła w międzynarodowym forum „Rynki światowe w okresie przełomu - odpowiedzi młodych rolników na globalne wyzwania”, zorganizowanego przez Niemieckie Towarzystwo Rolnicze w Hanowerze i uczestniczyła w Programie Polsko-Amerykańskiej Fundacji wymiany studentów.

Była koordynatorem regionalnym projektu badawczo-wdrożeniowego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego pt. „Lokalny system edukacyjny jako instrument tworzenia gospodarki innowacyjnej”. Projekt ten realizowany był przez Kolegium Nauk o Przedsiębiorstwie Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie oraz Zakład Ekonomiki Organizacji Rolnictwa i Agrobiznesu. Jego efektem jest podpisanie umowy o współpracy z Urzędem Miasta w Siedlcach i stworzenie w regionie siedleckim unikalnego w skali całego kraju elektronicznego systemu zarządzania edukacją i rynkiem pracy. Jest to

projekt, dzięki któremu przedsiębiorstwa otrzymują informacje o uchodzących na rynek pracy absolwentach, a szkoły mają do dyspozycji informacje o zapotrzebowaniu na pracę oraz na ekspertyzy i opracowania potrzebne dla biznesu. Władze samorządowe otrzymują nie tylko informację o stopniu zgodności podaży i popytu na pracę, ale także nowoczesne narzędzie do zarządzania kapitałem intelektualnym naszego regionu. Projekt ten stanowi wzorcowy przykład współpracy pomiędzy nauką, szkolnictwem wyższym i władzami samorządowymi. Ponadto współpracowała z regionalną gazetą „Echo Podlasia” przy cyklu artykułów na temat kosztów i opłacalności produkcji rolniczej oraz brała udział w debatach poświęconych ważnym problemom regionu organizowanym przez „Tygodnik Siedlecki”. Zainteresowania badawcze dotyczą głównie problematyki przedsiębiorczości, zwłaszcza na obszarach wiejskich. W swoich badaniach ocenia współczesne procesy i tendencje przemian na obszarach wiejskich. Wyrazem tego były liczne publikacje oraz referaty na konferencjach naukowych krajowych i międzynarodowych. Jest współautorką podręcznika „Przedsiębiorczość. Jak założyć i prowadzić własną firmę?”. Autorka około 180 publikacji i współautorka 7 skryptów i podręczników. Organizowała lub współorganizowała szereg imprez naukowych, w tym również konferencje międzynarodowe.

Momentem, kiedy może oderwać się od pracy naukowej są zajęcia jogi, w których uczestniczy od 8 lat. Doskonalenie się w tej

122

Stanisław
Kałuża
i jego
największy
skarb.





dyscyplinie sportu pozwala na wyciszenie i przyływ nowej energii w pracy naukowej.

Stanisław Kałuża jest lekarzem weterynarii. Pierwszą jego placówką była lecznica dla zwierząt w Domanicach, gdzie pracował w latach 1977-1985. W znacznym stopniu przyczynił się do powstania nowej lecznicy w Dąbrówce Ług gm. Skórzec, w której do dzisiaj świadczy usługi weterynaryjne. Jest społecznikiem. Był radnym wojewódzkim, powiatowym i gminnym. Jest miłośnikiem i hodowcą gołębi pocztowych. Laureatem licznych nagród i trofeów. Hodowane przez Stanisława Kałużę gołębie biorą udział w licznych zawodach krajowych

i zagranicznych, organizowanych przez Polski Związek Hodowców Gołębi Poczтовых Oddział Siedlce. - *Nie ma piękniejszej chwili dla miłośnika gołębi pocztowych jak powrót gołębia z trasy liczącej tysiące kilometrów. Hodowca gołębi jest dla swoich ptaków trenerem, dietetykiem i lekarzem dbającym o ich zdrowie* - mówi Stanisław Kałuża. Gołębie hodowane przez Stanisława Kałużę, biorąc udział w licznych zawodach często powracają w czołówce do gołębnika. Jednym z najdłuższych lotów konkursowych, w którym brały udział Jego gołębie to lot z Harlingen w Holandii. Marzeniem hodowcy jest udział podopiecznych w Konkursie organizowanym w Afryce. ■



Henryk Durka

Historię tworzą ludzie

Jestem z Igań...

...I jestem z tego dumny. Chciałbym, by wszyscy mieszkańcy naszej wsi byli dumni z tego, że urodzili się i mieszkają w Igańniach – wsi, w której wojsko polskie odniosło tak znaczący sukces w czasie powstania listopadowego. I byli gotowi coś dla niej zrobić. Prezes Stowarzyszenia „Nasze Igańie” Henryk Durka nie ukrywa, że aby zrealizować ten cel, jest gotowy podjąć różne działania, a plany ma na kilka lat przód.

Henryk Durka urodził się w roku 1960 we wsi Igańie. Tu mieszkał i mieszka, tu prowadzi

własną firmę, a w wolnym czasie szefuje Stowarzyszeniu „Nasze Igańie”. Ta prężnie działająca organizacja pozarządowa wiele zauważa niespożytej energii i zaangażowaniu swojego prezesa. Jego działania zostały docenione przez członków organizacji. W kwietniu 2012 Henryk Durka po raz drugi został wybrany na prezesa Stowarzyszenia „Nasze Igańie”.

Inicjatorem powstania Stowarzyszenia „Nasze Igańie” był Janusz Mikulski, ówczesny przewodniczący Rady Gminy Siedlce. To on zachęcił ludzi i zorganizował pierwsze spotkanie w Chodowie. To on przekonywał zgromadzonych do założenia organizacji pozarządowej



125

Uroczyste
odsłonięcie
pomnika
w Igańniach,
13 września
1931 roku.

**Przemówienie p. pułk. Jana Janiszowskiego,
przewodniczącego Komitetu Budowy,
przy pomniku Igańskim w dniu
13 września 1931 r.**

Sto lat temu na polach, gdzie wznosi się ten pomnik, rozegrała się sławna bitwa Igańska, która w dziejach powstania listopadowego stanowi jedną z najjaśniejszych kart i która oręż polski okryła chwałą nieśmiertelną!

Tutaj wielki nasz strategik generał Ignacy Prądzyński, mając 7000 żołnierza, rozbija 16 tysięczny korpus rosyjski Rosena; tu pułki polskie odnoszą świetne zwycięstwo, zaścielając pola Igańskie i grobę Muchawki trupami nieprzyjaciół, biorąc kilka tysięcy jeńców, broń, amunicję, 3 działa i jedną chorągiew wroga.

To też w sercach polskich pamięć o tej bitwie, o bohaterstwie naszych żołnierzy, których krew zrosiła te pola, żyła nieustannie.

Za panowania przemocy rosyjskiej, jedynym widomym znakiem przypominającym w mroku niewoli to nasze zwycięstwo nad gnębiącym wtedy nas wrogiem, oraz że istniało kiedyś wojsko polskie — była tylko samotnie stojąca w lesku Igańskim mogiła kapitana W.P. — Hipolita Stokowskiego.

W stosunkach panujących przed wojną światową — każdy najmniejszy odruch uczczenia pamięci bohaterów naszych uważany był za zdradę stanu i, jako taki, surowo był prześladowany; czcić ich mogliśmy tylko myślą, i pamięć o nich nosić tylko w sercach.

Dopiero po odzyskaniu niepodległości uczcić ich mogliśmy czynem, czego dowodem jest ten pomnik.

W roku 1922 powstał w Siedlcach Komitet Budowy Pomnika, a w roku 1927 dzięki poparciu Koła Siedlczan został utworzony Komitet Wykonawczy.

wej, by móc korzystać z funduszy europejskich, oferowanych na realizację rozmaitych projektów społecznych. Nie było łatwo zachęcić ludzi. Jednak zausze znajdzie się kilku zapaleńców, którzy mają jakąś wizję i chcą działać. Są i inni, którzy czekają i patrzą, czy „coś z tego będzie”. - *Ludzie byli trochę nieufni, bali się, czy ich zaangażowanie nie zostanie wykorzystane do jakiś przekrętów, ale jak zobaczyli, że chodzi o zrobienie czegoś dla siebie, zaczęli się włączać* - opowiada Henryk Durka.

Początki nie były może zbyt imponujące, ale ważne było, żeby dać przykład, żeby pokazać, że można coś zrobić dla swojej „małej ojczyzny” i to niezbyt dużym nakładem sił. - *Gmina zbudowała nam we wsi chodniki, ale już na utrzymywanie na nich porządku pieniędzy nie było. Wystarczy jednak, by każdy przy swojej posesji raz na tydzień zamiótł ten chodnik, by przystrzygł trawę, wyrwał zielsko, oczyścił rowy i nie dał im zarosnąć. To nie przekracza przecież naszych możliwości. Ja tam nikomu nic nie nakazuję, ale o swój kawałek drogi i chodnika dbam. Z tego co widzę, dobry przykład motywuje i zaraża innych* - mówi Henryk Durka.

Zaczął się od chodników, ale na tym się nie skończyło. Teraz członkowie stowarzyszenia regularnie dbają o porządek na terenie przy pomniku upamiętniającym bitwę pod Iganiami. Może to niedużo, ale jednak trzeba ten spory teren wykosić, uprzą-



Uroczysta msza polowa pod pomnikiem w Iganiach.

127

nać skoszoną trawę, uporządkować teren z odpadków, zadbać o drzewa i krzewy. Zabiegi pielęgnacyjne wykonywane są co dwa-trzy tygodnie, w zależności od potrzeby. Na pewno jest ładniej, a to, że teren przy pomniku jest zadbany, zauważają wszyscy, a najbardziej przyjezdni, którzy podziwiają starania mieszkańców o ten fragment wsi.

Tradycją stały się organizowane co roku przez stowarzyszenie obchody Święta Niepodległości przy pomniku bitwy pod Iganiami. Dużym zainteresowaniem mieszkańców cieszą się plenerowe imprezy organizowane przez Stowarzyszenie, jak: kuligi, ogniska, święto pieczonego ziemniaka. To pozwala nie tylko na spotkanie mieszkańców, ale również na po-

znanie się nowych osiedleńców, wymyślanie i planowanie kolejnych działań, a wreszcie po prostu dobrą zabawę na świeżym powietrzu w gronie rodzinnym.

Stowarzyszeniu „Nasze Iganie” udało się zaistnieć nie tylko w świadomości mieszkańców Igań, ale także całej gminy oraz mieszkańców Siedlec. Stało się to w 2011 roku, w 180 rocznicę bitwy pod Iganiami, którą uczczono wspaniałą lekcją historii oglądaną na żywo – rekonstrukcją zdarzeń z wiosny 1831 roku. Ta duża, plenerowa impreza odbyła się na terenie Wyższego Seminarium Duchownego w Opolu Nowym w dniach od 15 do 17 kwietnia 2011 roku. Grupy rekonstrukcji historycznej w mundurach z epoki pokazały manewry, wal-

Rekonstrukcja
bitwy pod Iganiami,
w Opolu Nowym
w dniach
od 15 do 17 kwietnia
2011 roku.

128





Exhibiției
la Coliacoale
Stefan Gradescu
din 22-V-0

Uroczystości
rocznicowe
przed
pomnikiem
w Iganiach
z udziałem władz
Gminy.



130

kę ogniową, musztrę, życie obozowe, a także umundurowanie, wyposażenie i uzbrojenie z epoki. W bitwie udział wzięło 196 osób, w tym 65 uczestników grup rekonstrukcyjnych z Białorusi i Litwy. Na żywo rekonstrukcję oglądało kilka tysięcy osób, a jeszcze więcej obejrzało film w TV Siedlce oraz Telewizji Powiatowej i na YouTube. Współorganizatorami imprezy oprócz Stowarzyszenia „Nasze Iganie” byli: Stowarzyszenie Regimentów Pułków Polskich 1717-1831, Stowarzyszenie Artylerii Dawnej Arsena, Pułk 2gi Piechoty Xsiewstwa Warszawskiego, Gmina Siedlce, Wyższe Seminarium Duchowne w Opolu oraz GOK w Chodowie. Patronat honorowy objął biskup siedlecki Zbigniew Kiernikowski oraz Marszałek Woj. Mazowieckiego Adam Struzik. Finansową pomoc w realizacji rekonstrukcji zapewniło

aż 33 sponsorów – wśród których było wiele znanych siedleckich firm. Rekonstrukcję bitwy obserwował prawnuk zwycięskiego generała Ignacego Prądzyńskiego Andrzej Radoszewski.

Z okazji rocznicy Stowarzyszenie wydało okolicznościowe monety, pocztówki oraz książkę o powstaniu listopadowym. Pod koniec roku 2011 ukazała się również ciekawa publikacja Rafała Dmowskiego pt.: „Bitwa pod Iganiami 10.04.1831. Wybór źródeł.” Książka zawiera dokumenty pochodzące ze zbiorów kilku archiwów państwowych oraz pamiętników wydanych na przełomie XIX i XX wieku, w tym również pamiętników uczestników bitwy. Trzecie wydawnictwo Stowarzyszenia pt.: „Iganie wczoraj i dziś” jest w przygotowaniu i ma się ukazać pod koniec 2012 roku.

Skąd stowarzyszenie bierze pieniądze na swoje działania? Członkowie – a jest ich 38 – dobrowolnie się opodatkowują na działania podejmowane przez ich organizację. Składka miesięczna wynosi 5 złotych, rocznie jest to kwota 60 zł. Na większe projekty stowarzyszenie zbiera datki od firm i prywatnych darczyńców.

W kwietniu 2012 roku Henryk Durka po raz drugi został wybrany na prezesa Stowarzyszenia „Nasze Iganie”. Jest to sukces prezesa, który po trzyletniej kadencji, został pozytywnie oceniony przez członków organizacji.

Henryk Durka marzy, by stowarzyszenie fundowało co roku nagrodę dla najlepszego ucznia, wyłonionego w całorocznej rywalizacji o najlepsze wyniki w nauce. Marzy mu się również fundowanie pucharu dla najlepszych młodych sportowców. Zwycięzcy otrzymywaliby również nagrody rzeczowe. Zaangażowanie młodzieży w naukową i sportową rywalizację w założeniu miałyby odciągnąć uczestników konkursu od komputera oraz zachęcić do nauki i do uprawiania sportu. Na razie w stowarzyszeniu trwają rozmowy na ten temat, w projekt trzeba by jednak włączyć również nauczycieli, dyrektorów szkół, może również władze gminy i firmy jako sponsorów.

Prezes Durka, sam zagorzały zwolennik zdrowego i aktywnego życia, chce zachęcić do uprawiania sportu innych. Na razie udało mu się wynegocjować, by sala gimnastyczna przy Zespole Oświatowym w Iganich była udostępniona dla członków stowarzyszenia i ich sympatyków 2 razy w tygodniu. Będzie to moż-

liwe od urzędnia, oczywiście pod warunkiem, że będą wyznaczone osoby dbające o zachowanie na sali i w szatniach należytego porządku.

Innym marzeniem Henryka Durki jest pomysł, by w szkole – na razie w Iganich – wprowadzić ojców dzieci jako opiekunów drużyn sportowych. Na pewno ułatwiłoby to pozyskanie sponsorów, zapewniłoby również pomoc wychowawczą i wsparcie przy realizowaniu sportowego programu.

Pytany o hobby Henryk Durka odpowiada z uśmiechem: *- Moje hobby to rodzina. Czuję się odpowiedzialny za moich chłopców, staram się ich wciągnąć do swoich działań, bo nie podoba mi się, że w dzisiejszych czasach wszyscy są coraz bardziej od siebie oddaleni, choć pozornie kontakt jest łatwiejszy, bo prawie każdy ma telefon i dostęp do internetu jest bardzo łatwy. Fachowo nazywa się to atomizowanie stosunków społecznych. Widzę to, co dzieje się z młodzieżą i nie bardzo mi się to podoba. Zrobię wszystko, żeby to zmienić, żeby ludzie poczuli, że razem można wiele zrobić. Na szczęście mam wsparcie nie tylko rodziny, ale również członków stowarzyszenia, którzy nie tylko udzielają się w czasie różnych naszych działań, wspierają radą, ale również pomagają finansowo je zrealizować. Naszym głównym priorytetem jest budzenie patriotyzmu lokalnego, dumy z tego, że jestem stąd, z Igań. Cel jest szczytny i dlatego mam nadzieję, że nam się to uda.* ■



Andrzej Jobczyk

Historię tworzą ludzie

„Wywijas” i inne filmy

Młode pokolenie mieszkańców gminy to również ciekawie zapowiadający się artyści. Jednym z nich jest Andrzej Jobczyk, urodzony 10 grudnia 1985 roku w Siedlcach.

Absolwent Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie o profilu snycerstwo, obecnie piszący pracę magisterską w Wyższej Szkole Filmu, Telewizji i Teatru im. Leona Schillera w Łodzi - na Wydziale Filmu Animowanego i Efektów Specjalnych.

Andrzej Jobczyk fotografuje od 2003 roku. Swoje fotografie szybko zaczął ożywiać przy pomocy prostych, a następnie coraz bardziej skomplikowanych programów graficznych. Swoją pasję fotograficzną kontynuował na studiach w łódzkiej „Filmówce”. Zaowocowała ona między innymi krótkimi, jednonominutowymi studenckimi etiudami animowanymi: „Autoportret”, „Kinetyka” i „Kalinka”. Autor wykorzystał w nich w przewrotny sposób swoje fotografie i w efekcie stworzył interesujące studium zadanego tematu.

Jego film animowany „Wywijas” (reżyseria, scenariusz, animacje, zdjęcia i montaż Andrzej Jobczyk) brał udział w Festiwalu Animacji Filmowych Boruta-Fest 2009 w Łęczycy, gdzie zdobył II nagrodę w kategorii „filmy studentów wyższych szkół plastycznych i filmowych”. Ten sam film został pokazany w 2009 roku w czasie konkursu krótkometrażowych ani-

macji w Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych. Został tam zauważony i oceniony jako oryginalny i ciekawy. „Wywijas” zdobył również wyróżnienie na OFAFA 2010 w konkursie etiud studenckich. W 2010 roku w konkursie Polskich Filmów Krótkometrażowych „Nowe Horyzonty” film „Wywijas” został nominowany do nagrody w kategorii film animowany. Ostatnie filmy animowane Andrzeja Jobczyka to – „Superstruna” z 2009 roku oraz „Prędkość światła” z 2011 roku. Pierwszy film to wizualne przedstawienie surrealistycznych rozważań na temat kwarków i atomów, zainspirowane teorią strun. Filmy animowane „Wywijas” i „Superstruna”, były prezentowane wielokrotnie w czasie przeglądów i pokazów animacji studentów PWST w miastach wojewódzkich całej Polski (Poznań, Bydgoszcz, Lublin, Gdańsk, Warszawa...).

Jest też Andrzej postrzegany, jako znakomity fotografik. Nagrody, które otrzymał dotychczas za swoje zdjęcia świadczą o bardzo dużych możliwościach tego młodego twórcy. A są nimi: I nagroda w konkursie firmy „Absolut” czy I Nagroda w konkursie „Viva! Photo Awards” 2009, w którym pracom jury przewodniczył Ryszard Horowitz.

12 czerwca 2010 r. w ramach projektu „In the Loop: Video Art from the EU” tryptyk („Superstruna”/„Kalinka”/„Synchronizacja metryczna - Czarne oczy”) Andrzej osobiście!!! zaprezentował w Wasyngtonie

• w The Phillips Collection (prestżowej galerii sztuki współczesnej).

• W roku 2011 Andrzeja zaprosiła radio-
• wa Trójka do ogólnopolskiej imprezy
• „Męskie Granie”. Obok znakomitych mu-
• zyków jak zespół Myslovitz, Leszek
• Możdżer czy Wojtek Waglewski - Andrzej
• wraz z Cyprianem Piwouarskim prezen-
• towali dokonania komputerowej animacji.

• *„Próbując uchwycić istotę fotografii,
• nieuchronnie musimy zmierzyć się z kil-
• koma problemami. Niby fotografia jest
• spłaszczeniem reprodukowanej rzeczywi-
• stości. Niby jest „realistyczna”, ale zdaje
• się być zarazem niekonwencjonalna.
• Fotografia, czy raczej przedmiot fotogra-
• fii ciągle nam umyka, nie dając się spro-
• wadzić do prostych, teoretycznych rozwią-
• zań (inaczej mówiąc: dla każdej teorii
• fotograficznej można znaleźć kontrteorię).
• Fotografia w rozumieniu Andrzeja Job-
• czyka jest kontrteorią realizmu. Anali-
• zując fotografię nie tropi jej magi ani
• fenomenu, ale kieruje ją w stronę świa-
• domych i nieświadomych procesów
• i praktyk, poprzez które fotografia nabie-
• ra znaczenia, i to znaczenia nadreali-
• stycznego. Interesuje go nie tylko mate-
• rialny przedmiot, jakim jest zdjęcie, ale
• także dyskursy, w jakie uwikłany jest
• widziany przez oglądającego obraz. Waż-
• ne miejsce w rozważaniach Andrzeja nad
• rzeczywistością ma zabawowy aspekt
• widzenia świata. Sądzę, że w tak wcze-*

snym okresie twórczym, w jakim znajduje się Andrzej, jego „kwaśne” metafory zaprowadzą go w słodkie horyzonty - pisał w roku 2006 na łamach magazynu „Bocznica” Mirosław Zdrodowski.



Z najnowszych wieści możemy dodać, że Andrzej „załapał się” do międzynarodowych pokazów „Polska szkoła animacji, jej satelici i kontynuatorzy” i w październiku tegoż roku będzie pokazywał „Wywijasa” w Dublinie na festiwalu animacji Blackrock...

Filmy i etudy filmowe Andrzeja można obejrzeć na You Tube w Internecie. ■



Małgorzata i Daniel Jobczykowie

Historię tworzą ludzie

„Bierzemy nitkę i motamy...”

„Mała Pracownia” z Chodowa jest rodzinną firmą specjalizującą się w produkcji oryginalnych upominków reklamowych. Prowadzi ją małżeństwo Małgorzata i Daniel Jobczyk wraz z synem Bartłomiejem. „Mała Pracownia” ma siedzibę w Chodowie przy ul. Ogrodowej 18.

Firma powstała w roku 1996 trochę przez przypadek. Opowiada Daniel Jobczyk: - Odziedziczyliśmy po dziadkach gospodarstwo ogrodnicze w Chodowie. Żona Małgosia ukończyła Liceum Plastyczne w Nałęczowie. W roku 1983 wzięliśmy ślub. Początkowo Małgosia pracowała w Centrum Kultury i Sztuki w Siedlcach, ale po urodzeniu dzieci zajęła się ich wychowaniem i zrezygnowała z pracy. Ja pomagałem dziadkom, a potem sam prowadziłem gospodarstwo ogrodnicze w Chodowie. Sporo zainwestowaliśmy, budując nową szklarnię, tunele, kupując wyposażenie i sprzęt mechaniczny. Ale na początku lat 90-tych opłacalność ogrodnictwa zaczęła drastycznie spadać. Mieliliśmy dylemat, co dalej robić. Żona malowała przez jakiś czas obrazy - martwe natury, sprzedawałem je do USA, ale wciąż szukaliśmy czegoś innego. Ponieważ Małgosia skończyła szkołę plastyczną o profilu zabawkarstwo, więc poszliśmy w tym kierunku. Trochę podpowiedzieli nam znajomi, pokazując lukę w rynku upominkowym. Zaczęliśmy od produkcji koszulek.

Daniel Jobczyk zajął się organizacją firmy oraz logistyką. Zaczęło się szukanie odpowiednich produktów dobrej jakości. Kłopoty były też z zakupem pełnej rozmiarówki koszulek. Trzeba było również pomyśleć, gdzie sprzedać to, co się wyprodukowało. - *Mieliliśmy dużo towaru, który do nas wrócił, bo się nie sprzedał. Pewnego dnia oglądaliśmy festiwal muzyki country w Mrągowie. Załadowaliśmy cały towar na busa, zapakowaliśmy stoliki, krzeselka i pojechaliśmy do Mrągowa. Tam na pniu sprzedaliśmy cały towar. Potem jeździłem na kolejne imprezy, by tam sprzedawać to, co wyprodukowaliśmy*- wspomina Daniel Jobczyk.

Zimą Daniel Jobczyk pojechał na Targi Poznańskie ze stoiskiem z upominkami. W ciągu roku był na ośmiu takich imprezach, w tym również na Targach Reklamy. Tam do jego stoiska trafił klient, który zapytał, czy byłaby możliwość zrobienia z koszulki gadżetu reklamowego w kształcie smoka. Zamówił wówczas 500 sztuk. Potem posypały się kolejne zamówienia z różnych firm. Większe zamówienia zazwyczaj opiewały na kilkaset do kilku tysięcy sztuk jednego wzoru, z tym, że koszulki miały być w różnych rozmiarach. Ponieważ producenci koszulek z Polski nie zawsze wywiązywali się z umów i obietnic, „Mała” zaczęła składać zamówienia na koszulki w Danii. Stamtąd dostawała towar wysokiej jakości, w zamówionych rozmiarach i zawsze w okre-

ślonym w umowie terminie. – *Jedynie ręczniki kupujemy w Polsce, bo znaleźliśmy bardzo solidnego kontrahenta, który docenia nas jako klienta* – opowiada Daniel Jobczyk.

Wśród opracowanych wzorów szybko pojawiły się psy i koty, słoniki, kacuszki, bałwanki, mamuty... i wiele, wiele innych. Cały czas powstawały nowe wzory. – *Wymyślała je Gosia. Zazwyczaj biorąc pod uwagę to, czym zajmował się zamawiający i jaki produkt miał reklamować nasz gadżet. I to Gosia sama ręcznie je wykonywała. To mrówcza robota* – opowiada Daniel Jobczyk

W 1999 roku „Mała Pracownia” po raz pierwszy brała udział w Targach Reklamy w Warszawie jako wystawca. Od tego czasu jest na nich obecna co roku i stale się rozwija. – *Nasi odbiorcy idą już w setki. Wysyłamy swoje produkty do różnych krajów – do Francji, Litwy, Szwecji, do Czech i innych krajów. Zamawiają u nas reklamowe gadżety firmy krajowe i zagraniczne. Ilość produkowanych wzorów idzie już w setki i ciągle powstają nowe. Klienci stale szukają czegoś nowego, żeby wypromować swój towar. I my im tego dostarczamy* – chwali ofertę swojej firmy Daniel Jobczyk. Tylko część z oferowanych wzorów można obejrzeć na stronie internetowej „Małej Pracowni”. W ofercie są wzory wykonywane z koszulek, z ręczników, z polarowych szalików i czapek. W firmie



Daniel Jobczyk
z Agnieszką Radwańską na korcie.



Daniel i Małgorzata z Martą Domachowską.

można zakupić również wysokiej jakości koszulki, kamizelki i polarowe ocieplacze z firmowym logo zamawiającego. Aby sprostać zamówieniom, Pracownia „Mała” zatrudnia obecnie od dwóch do kilkunastu osób w systemie chałupniczym, oczywiście poza rodziną.

- *Oferujemy towar użytkowy, który ma ciekawą, oryginalną formę. Jest jednocześnie gadżetem, czymś ładnym i miłym, jak pluszak, a równocześnie może służyć jako ubranie, ręcznik czy*

szalik i czapka. Takie dwa w jednym – jednocześnie reklamowy gadżet i praktyczna rzecz do użytku. Ale to jest towar dla klientów z poczuciem humoru, którzy potrafią spojrzeć na reklamę swojego produktu nieco szerzej – Małgorzata Jobczyk wie, o czym mówi. Sama metoda prób i błędów wymyśliła każdą ze sprzedawanych form.

Rodzina Jobczyków oprócz prowadzenia rodzinnej firmy ma także inne przyteczne pasje. Małgorzata Jobczyk w opuszczo-



Wiesław Jobczyk z Danielem przy domowym cieście.

nych szklarniach, w których nie rosną już pomidory, sadi egzotyczne rośliny i tworzy własną, oryginalną oranżerię. W domu Jobczyków często znajdują ratunek porzucone psy i koty, którym następnie Małgorzata szuka innych, spokojnych domów. Daniel Jobczyk wybudował kort i z pasją gra w tenisa.

Kiedy Daniel gdziekolwiek wymienia swoje nazwisko zostaje zapytany o Wiesława Jobczyka słynnego polskiego hokeistę urodzonego w Siedlcach. - *Tak! To bliska rodzina* - odpowiada z dumą.

Wiesław Jobczyk Przez 12 sezonów ligowych rozegrał 392 mecze i strzelił 354

gole. Zdobywca *Złotego Kija Sportu* dla najlepszego hokeisty kraju (1981-82), w reprezentacyjnym ataku partner Andrzeja Zabawy i Leszka Kokoszki. Jest 5-krotnym mistrzem Polski (1980, 1981, 1982, 1983, 1985), 4-krotnym królem strzelców ligowych (1979, 1981, 1982, 1983).

Zaczynał grę w siedleckiej Pogoni (do 1973), potem były kluby śląskie: Baildon Katowice (1974-78), Zagłębie Sosnowiec (1978-85) po kluby niemieckie: Duisburger SC (1985-87), EC Ratingen (1987-89) i Wessel, Moehrs, Duisburger SC.